MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 44. WARSZAWA, 9 PAŹDZIERNIKA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZAMIERANIE LIGI NARODÓW

TRUDNO bez melancholji czytać sprawozdania z Ligi Narodów. Mówcy urzędowi jeden za drugim przekonywają swych słuchaczy o konieczności istnienia Ligi—przepowiadają jej świetną przyszłość. Chodzi o „zagadanie" błądzącego po kuluarach Zgromadzenia Ligi widma rozkładu i upadku tej instytucji.

Widmo to zjawia się nie po raz pierwszy. Piszący te słowa był na Zgromadzeniach w latach 1930 i 1931, już wówczas można było zauważyć przesilenie instytucji genewskiej. Ważne rzeczy załatwiano poza nią, a porządek dzienny Zgromadzenia zapełniano sprawami coraz mniejszej wagi: „...wśród przybyłych do Genewy polityków, dyplomatów i dziennikarzy"—pisałem we wrześniu r. z. w „Listach z Genewy", drukowanych w „Gazecie Warszawskiej"—„mówiło się wyraźnie o kryzysie, przeżywanym przez Ligę Narodów, — ponad Zgromadzeniem unosił się przygnębiający niepokój o przyszłość... Liga weszła w okres ciężkiego kryzysu..."

Zgromadzenie tegoroczne jest — jak widać z wygłoszonych na niem przemówień i z głosów prasy — jeszcze bledsze, nad niem jeszcze większa nuda i zniechęcenie.

Nie są to objawy przejściowe, mamy do czynienia nie z przesileniem właściwie, a z powolnem zamieraniem pierworodnego dziecięcia prezydenta Wilsona i lóż masońskich.

Nie znaczy to jednak wcale, by było rzeczą niemożliwą istnienie terenu, na którym mogłyby być rozpatrywane sprawy międzynarodowe, by poszczególne państwa i narody nie posiadały interesów wspólnych, nie miały potrzeby łączenia się dla celów ogólniejszych Znaczy tylko, że oparto się na fałszywych podstawach i zapuszczono się na błędne ścieżki. Liga Narodów jest typowym tworem, wyrosłym z abstrakcyjnego myślenia ludzi wieku XIX-go. Zrodziła ją ideologja, która operuje pojęciami oderwanemi, takiemi, jak „ludzkość", „postęp", „równość" ludzi i t. d. Wyznawcy tej ideologji nie interesują się wcale dotychczasowem doświadczeniem politycznem, nagromadzonem przez wieki istnienia państw i narodów, wszystko, co było do r. 1919, uważają za potępienia godną przeszłość, w ich mniemaniu założenie Ligi Narodów otwiera nowy okres w dziejach świata. Snując konsekwencje z podobnych założeń, oddalają się też coraz bardziej od rzeczywistości i kroczą wśród mgły złudzeń i abstrakcyj. Zbliżają się też szybkim krokiem do impasu i do kompletnego bankructwa.

Należenie do rodzaju *Homo sapiens* nie wystarcza do tego, by tworzyć wspólną organizację. To też Liga, jako organizacja wszystkich państw świata, jest zupełną fikcją. Nie należą do niej formalnie Stany Zjednoczone, trzyma się poza nią Rosja Sowiecka. Jeśli się bierze rzeczy realnie, to trzeba sobie powiedzieć, że Liga jest organizacją państw europejskich i narzędziem ich polityki.

Jeśli ograniczyć jej treść do tego, trzeba jednak jeszcze stwierdzić, że jest organizacją bardzo luźną i nie opartą na trwałych podstawach, chociaż między państwami europejskiemi, obok ostrych konfliktów, istnieje także dużo wspólnego. Tylko że te rzeczy wspólne nie znajdują się tam, gdzie ich szukali twórcy Ligi.

Chcąc je odnaleźć i użyć za materjał na fundamenty do budowy instytucji, czy też instytucyj, będących wyrazem pewnej jedności Europy, trzeba iść zgoła innemi drogami, niż to robiono dotychczas. Trzeba — zdaniem naszem — zwrócić się do źródeł jedności narodów europejskich, które wskazuje badanie dziejów Europy. Wszak pojęcie „cywilizacja zachodnio-europejska" posiada treść bardzo bogatą i określoną. Wszak przez szereg wieków istniały i działały instytucje, które były realnym przejawem i narzędziem tej jedności.

Ludzie współcześni mało się interesują historją, nie znają własnej przeszłości. A już szczególna ignorancja panuje w zakresie znajomości tego okresu dziejów ludów Europy, kiedy tworzyły się podstawy cywilizacji zachodnio-europejskiej, a więc wczesnego średniowiecza (wieki VI-ty do XI-go). A przecież w tym czasie ze zlania się różnych

pierwiastków cywilizacyjnych i różnolitego materjału ludzkiego utworzył się kościec tego, co dziś nazywamy Europą. Dla przeciętnego, inteligentnego człowieka między upadkiem zachodniego Cesarstwa Rzymskiego, a późnem średniowieczem istnieje kompletna pustka, wypełniona mało interesującemi walkami wszystkich ze wszystkimi, chaosem i anarchją. Tymczasem w tym okresie przejściowym właśnie wytworzyło się to wszystko, czem żyją dziś narody cywilizacji zachodnio-europejskiej. A później — w okresie późnego średniowiecza nastąpiło stopienie się różnolitych pierwiastków, poczem wykrystalizowały się instytucje, które były wyrazem jedności ludów europejskich, przedewszystkiem — Papiestwo i Cesarstwo... Tu już wkraczamy w dzieje bardziej znane, lecz źle — zdaniem naszem — rozumiane. Od epoki Odrodzenia do czasów naszych zaszły głębokie przemiany w życiu ludów europejskich, jest to okres rozpadu budowy średniowiecza, okres przejściowy między tem średniowieczem właśnie, a czasami nowemi; kształty nowej budowy zarysowują się dopiero przed nami, przeżywamy bowiem czasy podobne do tych, jakie były między upadkiem, Rzymu a późnem średniowieczem.

Mimo tych przemian, mimo rozpanoszenia się indywidualizmu i materjalizmu, żyjemy dziś jeszcze z tego kapitału, jaki ludy Europy zachodniej nagromadziły w okresie średniowiecza, a reakcja przeciw indywidualizmowi i materjalizmowi powoduje nawrót wstecz, nie bez powodu mówią też niektórzy o Nowem Średniowieczu. O czywiście jest to określenie nieścisłe, gdyż może być mowa li tylko o powrocie do pewnych zasad i pewnych pojęć, które nabierają rumieńców, gdy się zbiorowość przeciwstawia jednostce, a spirytualizm materjalizmowi.

Gdy minie okres ostrych walk narodowych w Europie, gdy układ stosunków światowych sprzyjać będzie silniejszej organizacji Europy, wówczas trzeba będzie szukać mocnych podstaw współdziałaniu ludów europejskich w tych wspólnych tradycjach, a organizację oprzeć na tem, co jest wspólnego w cywilizacji i kulturze i co wytwarza wspólność politycznych interesów.

Dziś dalecy jeszcze jesteśmy od tego. Europa przeżywa z jednej strony czasy silnego napięcia dążeń narodowych i przejmowania się temi dążeniami przez szerokie warstwy ludowe; z drugiej zaś strony polityka stała się już nie europejską ale światową, i jest ona dziś splotem interesów ludów, zamieszkujących powierzchnię całej kuli ziemskiej.

Położenie geograficzne Polski—między Zachodem a Wschodem—sprawia, że przyszłość naszego państwa jest uzależniona nietylko od tego, co się dzieje w Europie, leczi od tego także, co się dziać będzie na innych kontynentach, przedewszystkiem w Azji.

Najpierwszem naszem zadaniem jest chronić i utrwalić istnienie naszego państwa i zdobyć dlań pozycję wielkiego mocarstwa. Nie możemy tedy żyć odległą przyszłością i poświęcać się dla „Europy“, czy dla „Ludzkości“, lecz musimy rządzić się względami na najbliższe i najpilniejsze interesy naszego narodu.

Nie możemy bowiem zapominać ani na chwilę o tem, że ów Zachód nie jest jednolity i że przyszłość państwa polskiego jest najbardziej zagrożona przez Niemców, którzy należą do ludów cywilizacji zachodnio europejskiej i którzy w swych dążeniach do hegemonji na kontynencie europejskim chętnie się powołują właśnie na średniowiecze i na to, że ówczesne Cesarstwo Rzymskie było w istocie rzeczy cesarstwem niemieckiem.

Jest rzeczą niewątpliwą, że w ludach tej ziemi, obok instynktów walki i egoizmów narodowych, istnieją pragnienia życia w pokoju, pragnienia ładu i porządku powszechnego, a w pewnych sprzyjających warunkach te właśnie pragnienia biorą górę. W krajach, okalających morze Śródziemne, zrealizował to pragnienie Rzym starożytny. Lecz świat dzisiejszy daleki jest od tego, przypomina on raczej wieki chaosu, jakie zaczęły się po upadku Rzymu.

To też uznać należy, że dziś są warunki mało sprzyjające do tworzenia wielkich organizmów międzynarodowych, mających realną treść i realne warunki istnienia.

Zamieranie Ligi Narodów wynika z natury rzeczy, jest nieubłaganą koniecznością. Jest ono następstwem nietylko błędnych założeń, na których instytucja genewska została oparta, lecz także tego stanu politycznego, w jakim dziś żyje Europa i świat cały.

Dlatego to trzeba szukać tymczasem innych sposobów zarówno zabezpieczenia swych intererów własnych, jak i zabezpieczenia pokoju między narodami. Sposoby te już są wskazane przez doświadczenie dziejowe: narody miłujące pokój i potrzebujące pokoju muszą być silne i być ze sobą złączone mocnemi więzami sojuszów.

STANISŁAW KOZICKI

POLACY W OPINJI ZAGRANICY

(Dokończenie)

PO upadku powstania z właściwą nam zmiennością usposobienia przerzuciliśmy się do wręcz odmiennej taktyki. Zamiast dumnej pieśni o zwycięstwie uderzyliśmy w ton skargi na nasze krzywdy i męczeństwo. Zrazu, wobec bestjalskiego prześladowania Murawjewa i jemu podobnych, wobec hekatomby istnień ludzkich, skazanych na śmierć lub na katorgi Sybiru, ten apel do miłosiernych uczuć ludzkości był zrozumiały i uzasadniony. Niestety trwał on zbyt długo, bo rozbrzmiewał i wtedy, gdy ustały właściwe prześladowania za walkę zbrojną, a my pomimo to wciąż kołataliśmy do litości narodów. Co więcej, w pewnych sferach społeczeństwa polskiego powstała specjalna teorja walki o wolność, wyrażająca się w maksymie, że „Polska winna być ciągle wrzodem, ropiejącym na ciele Europy“. W imię tego hasła byliśmy gotowi do czynów, nawet dla narodu zabjóczych, któreby jednak nie pozwoliły Europie zapomnieć o naszem męczeństwie i utrzymywały ją w nieustającym stanie wrzenia. Zapomnieliśmy tylko o jednej prawdzie, że zbyt długie i natrętne obnażanie wrzodów wywołuje skutek wprost przeciwny. Zamiast uczucia litości budzi jedynie obrzydzenie. Pomimo to taktyka, którą nazwałbym cierpiętnictwem, lubująca się w rozdrapywaniu ran i demonstrowaniu naszej słabości, przetrwała czasy niewoli i — rzecz dziwna —

kwitnie nieprzerwanie nawet w niepodległej Polsce. Zaznacza się ona głównie w dziedzinie, w której przedewszystkiem należałoby budzić zaufanie zagranicy do mocarstwowej potęgi państwa polskiego, mianowicie w dziele propagandy zagranicznej. Osobiście miałem sposobność stwierdzenia tej — mojem zdaniem — wysoce szkodliwej akcji, będąc w Brukseli na propagandowym filmie polskim p. t. „Huragan“. Treścią filmu są manifestacje warszawskie i powstanie 63 roku. W pierwszych scenach główną rolę odgrywał margrabia Wielopolski — niewiadomo dlaczego wbrew ścisłości historycznej — tytułowany przez autorów hrabią. Chyba, aby wśród demokracji zachodniej nie kompromitować Polski posiadaniem autentycznego margrabiego. Film, przedstawiony na terenie obcym, wywierał na widzu polskim wprost przygnębiające wrażenie. Składał się on z serji scen, w których Polacy są bici, prześladowani, tropieni po lasach jak dzikie zwierzęta i masowo mordowani. W obozach powstańczych na własnej polskiej ziemi panuje głód, a gdy zgłodniali powstańcy chcą się posilić w chacie wieśniaczej, to są zaraz denuncjowani przez chłopa. Fakty, niestety, prawdziwe, ale zbyt tragiczne i bolesne, a chyba jaknajmniej kwalifikujące się do odsłaniania przed widzem zagranicznym.

I gdyby jeszcze przemoc moskiewska była usprawiedliwiona wielką przewagą liczebną. Wręcz przeciwnie. W obrazach filmu partje powstańcze i oddziały wojsk rosyjskich prawie się równoważą. Naprzykład w ostatniej scenie kilkunastu uzbrojonych powstańców wraz z domownikami i służbą zatarasowywuje się we dworze, obleganym również przez kilkudziesięciu kozaków. Zatem ze względu na możność strzelania z ukrycia oblężeni powinni mieć raczej przewagę nad oblegającymi.

Tymczasem w zakończeniu filmu widzimy martwą pustkę dworu, całkowicie sprlondrowanego przez najeźdców, wraz z leżącemi pokotem trupami obrońców domu. Są to wierne reprodukcje odnośnych obraz z „Polonii Grottgera“, pod względem artystycznym nawet dość udatne, ale dające jaknajgorsze świadectwo o wprost niepojętej słabości polaków, którzy, zaryglowani w domu i uzbrojeni, dali się w tak okropny sposób zmasakrować. A rezultat?

Wrażenie cudzoziemca, opuszczającego salę filmu, może być tylko jedno. Oto wraz z pewnem uczuciem litości dla męczeństwa tych biednych Polaków jasne uświadomienie sobie faktu, że są oni widocznie narodem zbyt słabym, aby o własnych siłach módz zwyciężyć wrogów, więc chyba dziejowem ich przeznaczeniem jest być rządzonymi przez silniejszych sąsiadów. Może zbyt długo zatrzymałem się nad tym pozornie drobnym epizodem, ale według mnie jest on jakajbardziej jaskrawym dowodem jak błędnemi drogami chodzi tego rodzaju propaganda polska, odgrzebująca bolesne i upokarzające wspomnienia naszej niewoli w celu zupełnie niezrozumiałym. Bo doprawdy, gdyby wrogowie nasi chcieli dać obraz polskiej niemocy, to nie mogliby znaleźć lepszego jej dowodu, niż ten film propagandowy, przez Polaków stworzony i przez jakieś dziwne pomieszanie pojęć przedstawiany cudzoziemcom, w celu zjednania ich dla idei współczesnej, niepodległej Polski.

Czyż brakuje nam epizodów prawdziwie bohaterskich i chlubnie świadczących o sile odpornej Polski, które przecież pełną dłonią czerpać możemy ze współczesnych dziejów wojny bolszewickiej i cudu nad Wisłą? A nawet jeśli już mamy tkwić w tak umiłowanej przez nasze sfery kierownicze ideologji powstańczej, to czy nie było lepiej sięgnąć do dziejów powstania Listopadowego, osnuć film na tematach zwycięskich bitew pod Stoczkiem, Wielkiem Dębem, a nawet Ostrołęki, któ.a, chociaż przegrana, była bądź co bądź bitwą w wielkim stylu, rzucającą jasne światło na honor i bohaterstwo strony przegrywającej.

Lecz zamiast tych scen prawdziwie rycerskich z naszej historji my wciąż dajemy dowód, że doświadczenia z czasów niewoli niczego nas nie nauczyły i z zawziętym uporem żebrzemy litości Europy, przedstawiając jej Polaka w postaci głodnego, bosego i obszarpanego nędzarza, kryjącego się przed moskalem i za pierwszem zetknięciem ginącego z jego ręki.

Dziś również wpadamy z jednej ostateczności w drugą, stosując w propagandzie zagranicznej dwie wręcz sobie przeciwne metody zyskiwania sympatji narodów. Albo, jak wspomniałem przed chwilą przemawiamy do nich wspomnieniami dawnej martyrologji albo szerzymy przesadne legendy o wszechstronej naszej potędze państwowej, które w oczach każdego realnie patrzącego na świat cudzoziemca są jedynie niesmacznym *bluff*'em, potwierdzającym utrwaloną opinję o polskiem samochwalstwie.

Zdajemy się przytem zapominać o jednem bardzo ważnem zjawisku. Mianowicie, że wraz z powstaniem państwa polskiego zwiększyła się znacznie ilość wrogów, szkodzących nam w opinji zagranicy. Gdy w czasach niewoli występowały przeciwko nam głównie mocarstwa rozbiorowe, a t. zw. opinja liberalna świata raczej popierała nas, choćby naprzekór caratowi i innym ustrojom reakcyjnym, to obecnie mamy do czynienia z zakonspirowaną agitacją różnych międzynarodówek, których najwybitniejszą emanacją był istny żandarm Polski Ltoyd George, wszędzie i zawsze występujący przeciwko naszym interesom.

W tych warunkach propaganda nasza musi być podwójnie czujną, subtelną i głęboko przemyślaną. W celu skutecznej obrony przed wrogą dla nas propagandą i zyskania sobie zaufania zagranicy, a głównie naszego zachodniego sojusznika, należy przeciwstawić oszczerstwom, rzucanym na Polskę nie legendy, których zagranica ma powyżej uszów, lecz realne fakty. Pierwszy to posiadanie poważnej i dobrze zorganizowanej siły wojskowej, drugi, bodaj ważniejszy, to wytworzenie zwartego i jednolitego frontu opinji narodowej, pracującej w zgodnym wysiłku nad wzmocnieniem podstaw naszego bytu i osiągnięciem najwyższego poziomu jedności duchowej. Poza tem trzeba w stosunkach zewnętrznych żyć prawdą i mówić prawdę. I to nie tylko dlatego, aby być w zgdzie z zasadami etyki, ale i dla względów praktycznych, bo cudzoziemcy mają oczy otwarte i na to posiadają u nas swoich urzędowych przedstawicieli, aby przestrzegali swe rządy o wszelkich uchybieniach rzetelnej prawdzie.

Pierwszemu warunkowi uczyniliśmy zadość, dając w czasie wojny bolszewickiej dobitne świadectwo, że potrafiliśmy uchronić nie tylko siebie, ale i Europę od grożącego jej zalewu sił wywrotowych. Natomiast w drugim kierunku, zwłaszcza w ostatnich latach, robimy wszystko, aby utrwalić panującą u nas opinję, jako o narodzie, który, upadłszy przez brak spójni wewnętrznej, tkwi nadal w błędach przeszłości i w odzyskanem państwie

prowadzi zgubną politykę niesnasek i jałowych sporów, grożących mu bodaj ponowną katastrofą. Jeśli idzie o prawdę, to właśnie w sferach kierowniczych państwa odżyły tradycje jawnego mijania się z nią i imponowania cudzoziemcom w myśl staroszlacheckiej maksymy „zastaw się a postaw się“ zewnętrznemi pozorami świetności, które nikogo w błąd wprowadzić nie mogą, bo aż nazbyt widocznie wyziera z pod nich swojska, polska nędza.

Tem się tłumaczy, że ani nadmierne budżety państwowe, ani imponujące inwenstycje samorządowe, ani miljony, gromadzone przez instytucje świadczeń socjalnych, ani wreszcie zbytkowne budownictwo reprezentacyjne nie są w stanie, w oczach cudzoziemskiego obserwatora, zasłonić smutnego faktu, że te wszystkie świetności osiągnięte są kosztem jednego z najuboższych społeczeństw w świecie. I gdy na dobitkę starają się go przekonać, że wszelkie praktyczne rozumowania i logiczne przesłanki nie obowiązują w kraju, przesyconym atmosferą genjalności, to cudzoziemiec, nie mogąc trzeźwym swym umysłem objąć tych cudownych fantazyj, zachowuje rezerwę, a przedewszystkiem trzyma się za kieszeń. Jest to wynik żałosny, zwłaszcza, gdy w grę wchodzą nasi przyjaciele i sojusznicy francuscy, posiadający w nadmiarze złoto — tę wielką potęgę, bez której nawet domorośli genjusze nie są w stanie rozwinąć swych skrzydeł. Leży w tem źródło wielu nieporozumień i zawodów, bo gdy Polak po takiej rozmowie jest przekonany, że olśnił Francuza legendą o kraju, w którym dzieją się same cuda, to sojusznik, człowiek prosty i przyziemny, woli zachować swe złoto dla krajów, w których jest mniej genjuszów, a więcej mężów stanu, umiejących rachować, pracować, a przedewszystkiem mówić prawdę. Zresztą w poczuciu swej duchowej niższości może on sobie powiedzieć na pociechę, że przecież i we Francji byli ludzie, którzy ogromem usług, oddanych swej ojczyźnie, mieliby prawo pretendować do miana genjuszów. Tylko, że ci właśnie ludzie mówili jakimś innym językiem, pozbawionym cech samochwalstwa czy samoubóstwienia, ale za to pełnym skromności i prostoty. Taki naprzykład marszałek Joffre nie umiał odpowiedzieć na pytanie, kto zwyciężył nad Marną i srodze ofuknął kogoś, co go chciał porównywać z Napoleonem, a marszałek Foch w swoich pamiętnikach poprostu przeoczył pamiętną chwilę, gdy mu uroczyście wręczano buławę marszałkowską. Doprawdy trudno o większy kontrast pomiędzy charakterami dwów narodów i obyczajami ich wodzów. Dlatego sądzę, że dopoki nie potrafimy wyrównać tej różnicy dwóch poziomów duchowych, dopóki w stosunku do zagranicy trwać będziemy w dawnych błędach emigracji, przedstawiając w fałszywem świetle nasze cnoty, lub co gorsza, starając się imponować światu naszemi wadami, dopóty nie przekreślimy ujemnej opinji, zarzucającej nam lekkomyślność, samochwalstwo a co najboleśniejsze — niezdolność do rządzenia własnem państwem. Może, jak za czasów niewoli, usłyszymy od czasu do czasu słowa litości w postaci banalnego frazesu o *„notion généreuse et héroique“*, ale w układzie międzynarodowych stosunków nie będziemy uznani za siłę realną, o którą trzeba zabiegać i z którą liczyć się należy.

Już w zaraniu naszej niepodległości, bo w toku obrad Kongresu Wersalskiego doświadczyliśmy w sposób dotkliwy i bolesny, jak wielu mamy wrogów, a za to jak mało prawdziwych przyjaciół. Nawet przedstawiciele rządów, które sprawę odbudowania Polski popierały, czynili to bądź z poczucia konieczności wyrównania krzywdy dziejowej, bądź w celu wytworzenia siły, gwarantującej utrzymanie równowagi politycznej we wschodniej części Europy. Trzeba wszakże przyznać, że robiono to nie tylko bez entuzjazmu, ale bez istotnej sympatji dla narodu polskiego, o czem świadczą liczne dzieła i pamiętniki, poświęcone temu okresowi, w których daleko częściej brzmi nuta pewnej instyktownej do nas niechęci, niż życzliwego zainteresowania się losami wskrzeszonego narodu. Jest to objaw niepokojący, bo trzeba sobie dobrze uświadomić, że niemasz państwa tak potężnego, któreby mogło długo istnieć i rozwijać się w atmosferze ogólnej niechęci, bez zapewnienia sobie sojuszów czy przyjaźni. Gdy więc doświadczenia przeszłości mówią nam, że tej przyjaźni czy sympatji nie umieliśmy sobie zdobyć, wydało mi się rzeczą konieczną zbadać, ile jest w tem naszej winy i co czynić należy, ażeby uchronić nas od groźnych następstw tego, ze wszech miar ujemnego zjawiska. Zdaję sobie sprawę, że bieg moich rozumowań, pozbawionych podstawy głębszych studjów epoki emigracyjnej, ma charakter raczej zagajenia dyskusji, opartego na domniemaniach. Wszelako sądzę, że wobec ważności tematu, powinni się znaleźć ludzie, posiadający większą odemnie kompetencję w tej dziedzinie, którzy mogliby dać odpowiedź na niepokojące nas pytanie, dlaczego, pomimo wielu niewątpliwych naszych zalet duchowych, nie umieliśmy zjednać sobie sympatji ludzkiej z chwilą, gdy znajdowaliśmy się poza granicami naszej ojczyzny.

MARJAN KINIORSKI

Z OSTATNICH CHWIL A. MICKIEWICZA

OBRZYDLIWA AWANTURA, jaką — w setną rocznicę Dziadów cz. III — zainscenizowano około sprawy zgonu ich twórcy, nie zachęca zbytnio do wmieszania się w publiczną na ten temat rozmowę. Ujawniony w tej inscenizacji stopień rzetelności sądów, poziom argumentacji, „rycerskość“ chwytów polemicznych, wszystko to odraża od dyskusji, świadczy dostatecznie wymownie, że wbrew hałaśliwym zapewnieniom właśnie o prawdę chodzi tam jaknajmniej. Jednakowoż trudno. Jeżeli już wyciągnięto sprawę na targowisko sensacyj, niesposób akceptować milcząco tego zalewu bałamuctwa, jakim pokryto ostatnie miesiące życia i działalności A. Mickiewicza. Może wiec przyda się tutaj parę słów, w miarę spokojnych i rzeczowych. Przecież i w publicystyce nie wszystko się ostatecznie załatwia zahuczeniem i wyzwiskiem.

Dla należytej orjentacji w sprawie nie należy tracić z oczu jej początków.

P. Boy-Żeleński, roztrąbując starą plotkę o rzekomem otruciu Mickiewicza, skombinował ją z tem, czego się świeżo dowiedział o t. zw. „legjonie żydowskim Mickiewicza“, i z lekkiem ser-

cem zasuggerował swych czytelników, że możnaby zwrócić potworne podejrzenie o zabójstwo poety na ludzi, którzy się wówczas różnili z nim w poglądach politycznych, że można związać je zwłaszcza z jednym odłamem tych przeciwników, czy poprostu z jedną osobą. Usunięto Mickiewicza skrytobójczo, — każe się domyślać autor i domysły precyzuje: — niechybnie *„pro publico bono, pro Christo“*.

Zostawmy na boku moralną potworność takiego zarzutu i rozpatrzmy spokojnie jego siłę dowodową. Dla ludzi jako tako obeznanych ze stosunkami epoki precyzuje się oskarżenie takie bardzo ściśle. Według tego, otrucia Mickiewicza winien ma być jenerał Wł. Zamoyski, dowódca „dywizji kozaków otomańskich na służbie angielskiej“, a conajmniej ktoś z jego obozu wśród polskiej emigracji politycznej w Konstantynopolu, między nim to bowiem a Mickiewiczem było poróżnienie największe co do orjentacji politycznej i metod postępowania na tamtejszym gruncie, on to najwyraźniej w oddziałach swoich podkreślał potrzebę kultury religijnej, katolickiej. On więc jeden, lub ktoś z jego bezpośredniej czy pośredniej inspiracji, zgorszony zadawaniem się Mickiewicza z renegatem Czajkowskim, uważając zwłaszcza za „hańbę narodową“ organizowanie przezeń w porozumieniu z Rotschildem legjonu żydowskiego, mógł się odważyć na krok zbrodniczy — *pro publico bono, pro Christo.*

Przyczyną ostateczną zbrodni miałoby być więc zaangażowanie się poety w sprawę formacji wojskowej żydowskiej. Zanim tedy cokolwiek się powie o *meritum* tej straszliwej inkryminacji, dobrze będzie zorjentować się w owej „hańbie narodowej“, w sprawie t. zw. legjonu żydowskiego A. Mickiewicza.

1. T. ZW. LEGJON ŻYDOWSKI A. MICKIEWICZA

Sprawa tego „legjonu“ nie była zgoła sekretem. Pisał o nim i dokumenty do niego ogłaszał Wł. Mickiewicz jeszcze w r. 1885, a zabiegom organizacyjnym sporo uwagi poświęcił w „Żywocie“ ojca. Wcale szeroko rozwiódł się też nad nią Fr. Rawita-Gawroński („A. Mickiewicz na Wschodzie“, 1899). Jeżeli sprawa ta odżyła dzisiaj i wywołała nawet pewnego rodzaju zdumienie w opinji, stało się to za przyczyną ostatniej publikacji p. R. Brandstaettera. Wydał on niedawno, jako odbitkę z „Miesięcznika Żydowskiego“, osobną broszurę, poświęconą temu tematowi. Wypadnie tedy przyjrzeć się jej nieco bliżej. Nie będzie to zapewne bez pożytku ogólniejszej natury.

Obszerna ta rozprawa już na pierwszy rzut oka wykazuje pewną osobliwość. W trzech słowach, stanowiących jej tytuł, mieszczą się—co się nie często trafia—aż dwa błędy. Zawartość treści zaś dość jest pod tym względem z tytułem sharmonizowana. Całość przypomina trochę karczmę z „Pana Tadeusza“ tem, że jest także „stawiona krzywo“; budowniczy jej nie brał na pomoc pionu bezstronności, ni miary krytycyzmu, cóż dziwnego że całości brak umiaru i słusznej perspektywy.

Tytuł broszury „Legjon żydowski A. Mickiewicza“. Otóż, prawdę mówiąc, ani nie „legjon“, ani znów nie tak bardzo „A. Mickiewicza“. Oba te błędy tytułu są zarazem wykładnikami najważniejszych, merytorycznych błędów samej rozprawy.

Nie „legjon“; bo z pojęciem legjonu wiążemy formację wojskową odrębną, o własnem dowództwie, z narodowym językiem komendy, częstokroć pod własnym sztandarem. Tymczasem w oddziale, o którym myślano w otoczeniu Mickiewicza w jesieni 1855 r., o odrębności języka, tem mniej o chorągwi narodowej żydowskiej, oczywiście nikomu ani się nie śniło. Co ważniejsze, rzekomy legjon nigdy nie był pomyślany jako jednostka bojowa, organizacyjnie odrębna, o tyle o ile samodzielna. Miała to być mianowicie poprostu cząstka składowa korpusu kozaków otomańskich Sadyka Paszy. Gdyby ów pomysł mógł był dojść do skutku, rezultatem jego byłby w najlepszym razie pułk żydowski, z pułkownikiem Polakiem na czele, podległy dowództwu Czajkowskiego. Tyle i nic więcej. Także co do rozmiarów liczbowych rzekomy legjon przedstawiać się miał wcale skromnie. Projektowany pułk w najlepszym razie nie miał przenosić 1000 ludzi. To też jego organizator w kalkulacjach realnych, przedkładanych władzom tureckim, mówi skromnie nawet tylko o bataljonie (str. 17). Tyle i nic więcej.

Jak zatem widać, i ze względu na przynależność organizacyjną, i ze względu na rozmiar, projektowana formacja żydowska przedstawia się dość pomiernie. Mówić tutaj o „legjonie“, jest dowodem zbyt daleko posuniętej egzageracji i swoistego obchodzenia się z historją. Nie rozwodząc się zatem dłużej, możemy spokojnie określić tę część tytułu i zastosowanej w broszurze nomenklatury jako zwyczajne bałamuctwo.

Nie wiele inaczej jest z drugim wypadkiem. Bałamuctwem jest również, jeżeli się do wspomnianej formacji zamierzonej doczepia *brevi manu* nazwisko Mickiewicza, jeżeli odlicza się ją bez reszty na jego rachunek. Sprawa bowiem w rzeczywistości miała się nieco inaczej. Pomysł formacji wojskowej żydowskiej (powzięty nie w Paryżu, jak to twierdził T. T. Jeż, ale dopiero w Burgas) zrodził się w pewnej tylko mierze w głowie Mickiewicza. Świadczy o tem sam Levy. Ale właśnie z jego świadectwa można i należy wydobyć co innego, niż to chce uczynić p. Brandstaetter. Oto ustęp, który znajdujemy w broszurze, z listu Levyego do Bednarczyka, zapewne z r. 1855, o genezie pomysłu:

„Oto właśnie pod namiotami obozu Burgas projekt ten się urodził. Natchnął go (Mickiewicza) widok żołnierzy żydowskich, służących pod chorągwią kozaków otomańskich. Przy pierwszych słowach, które powiedziałem, Mickiewicz, Sadyk i ja poznaliśmy, że równocześnie doszliśmy do tej samej myśli, i każdy mówiąc, mówił to, czego drugi pożądał“ (str. 4).

Oto jest świadectwo urodzin „legjonu“ żydowskiego. Świadectwu temu i jego interpretacji przyjrzymy się bliżej. Mamy tu bowiem do czynienia z dość typowem dla autora broszury postąpieniem. Wytyczną pracy jego jest zdecydowane przesuwanie legjonu na rachunek Mickiewicza, postawienie go w świetle autorytetu poety. To *studium* autora odbiło się niestety ujemnie na naukowej solidności rezultatów jego pracy. Ot choćby i tutaj. Obawiać się należy, że metryka „legjonu“ została tu w interpretacji naszego historyka wcale istotnie skręcona. Nawias wyjaśniający „(Mickiewicza)“ wtrącony został przez pana Brandstaettera. Niema pod ręką tekstu oryginalnego francuskiego, ale z samego kontekstu wynika jasno, że wtrącony on tu został mylnie, z pogwałceniem logiki okresu. „Widok żołnierzy żydowskich“ natchnął nie Mickiewicza, ale trójcę przyglądających się natchnął pomysłem osobnej

formacji żydowskiej. Z owej trójki zaś natchnął najpierw Levyego. On to przecież powiedział w tej sprawie „pierwsze słowa“, on zaczął wyłuszczać myśl, którą towarzysze zaakceptowali (Czajkowski zresztą dość powściągliwie). Niema co do tego najmniejszej wątpliwości.

Świadectwo powyższe nie daje więc prawa, żeby poczęcie tej myśli wpierać Mickiewiczowi. Wynika z niego oczywiście, że pierwszym inspiratorem myśli jest Armand Levy; mówić więc o zamierzonej formacji żydowskiej, że z tytułu ojcostwa pomysłu miała być „legjonem Mickiewicza“, można tylko przy daleko idącej nonszalancji wobec historji, która przecież stara się być nauką ścisłą, a za cel ma prawdę. Prawdą zaś w naszym wypadku jest tylko to, że Mickiewiczowi pomysł Levyego rzeczywiście się spodobał, że stał się jego rzecznikiem, a jego urzeczywistnieniu udzielił znacznego poparcia moralnego. Tyle i nie więcej.

Ale nawet w tak zredukowanem ustaleniu faktu musi być miejsce na pewne ograniczenia. Najpierw takie: Myliłby się i wypaczałby obraz działalności Mickiewicza, ktoby rozumiał, że zrezygnowawszy z misji pogodzenia Sadyka z Zamoyskim, resztę dni swoich wypełnił on troską wyłącznie i przedewszystkiem o formację żydowską. Myśl Mickiewicza była znacznie szersza. Chciał on mianowicie skupić pod komendą Sadyka oddziały ochotnicze różnych narodowości, znajdujących się pod panowaniem tureckiem. To była właściwa jego idea. Pisał poeta o tem, wyłuszczając szerzej myśl swą, do Czajkowskiego:

„Znalazłbyś się naczelnikiem r a y a s t w a całego w Turcji. Naprzód idzie o Bułgarów. Czy nie masz kogo, coby tę myśl między nimi poruszył? O Grekach wątpię, czy się z nami połączą. W Bośni znalazłbym na to człowieka, ale nie wiem jeszcze, kiedy się tam udam“ (list z 8 listopada 1855 r.).

Podkreślmy więc raz jeszcze. Jeżeli chodzi o właściwy, autentyczny i pełny pomysł Mickiewicza, to w tem oto się on mieści: stworzyć w Turcji korpus posiłkowy antyrosyjski, złożony z ochotniczych pułków narodowościowych, pod dowództwem Sadyka Paszy. Pułk żydowski byłby w tak sformowanym korpusie jedną z części składowych. Taka jest pierwsza uwaga. A teraz druga.

P. Brandstaetter, wparłszy w czytelnika przekonanie o Mickiewiczowem ojcostwie pomysłu, przez cały ciąg wywodów stawia sprawę tak, że poeta tej myśli oddał się cały, nią się jedynie radował, że ona mu na krótki czas opromieniła schyłek życia. Dla Mickiewicza, — wmawia w nas autor dalej, — „myśl o legjonie żydowskim była j e d y n ą o s ł o d ą owych ciężkich ostatnich chwil“ (str. 35). Co więcej, niepowodzeniom w realizowaniu tej myśli i płynącym stąd zgryzotom przypisuje on decydujący zły wpływ na zdrowie Mickiewicza. Jest i w tem bodajże wiele egzageracji autora.

Zapewne, nikt nie zaprzeczy, że Mickiewicz opowiedział się bez zastrzeżeń za pomysłem oddziału żydowskiego; prawdą jest, że się ujmował za nim przed Śniadecką, przed Sadykiem, że Levyemu pomagał w redagowaniu memorjałów do władz tureckich. Ale sam osobiście nie wkraczał wiele w zabiegi organizacyjne; zostawił je, — jak najwłaściwiej, — samym żydom, głównie Levyemu. Nawet z tych niewielu wypadków bezpośredniej jego ingerencji, o jakich mówi autor, uwaga krytyczna każe nam niektóre zredukować. Np. na str. 15 czytamy, jak to Mickiewicz razem z Levym chodził na konferencję do bankiera żydowskiego Camondo, jak mu „przedstawili swój plan“, jak „wyłuszczyli“ to i owo i t. d. Cóż, kiedy raport, jaki Levy zdaje Sadykowi z tej konferencji (str. 16 i n.), nie daje podstawy do takiego twierdzenia. Ani słówkiem nie wspomina o udziale Mickiewicza, utrzymany jest cały w liczbie pojedyńczej: „widziałem“, „przedstawiłem“, „powiedział mi“ etc. A zatem—Mickiewicza na tej konferencji nie było.

(Dok. n.) STANISŁAW PIGOŃ

PUŁAPKA

SZARLATANERJA masonerji nie opuszcza najmniejszej sposobności, żeby niszczyć w narodach (prócz „wybranego“) ich samowiedzę i samopoczucie. Oto, naprzykład, wychodzi w Warszawie w języku polskim kwartalnik p. t. „J. Krishnamurti — przemówienia“. W tym samym przedmiocie ukazują się wydawnictwa perjodyczne pod ogólnem tytułem „*Star bulletin*“ (prócz Polski) w piętnastu krajach i językach obu półkul globu ziemskiego. Poza czasopismami wychodzą przekłady książek owego pana Krishnamurti z języka angielskiego. W języku polskim wydrukowano już jedenaście jego dzieł — poezyj, poematów i rozpraw. Ukazała się nadto monografja angielska o nim pióra Dr. L. Hebera. Są do nabycia fotografje jego—pocztówki, gabinetowe i t. d. Wszystko to reklamowane szeroko i na wielką (jak widzimy) skalę światową. Dla każdego kraju podane jest przedstawicielstwo tego olbrzymiego trustu, który ma siedzibę prawną w Ommen w Holandji. Przedstawicielem na Polskę jest „*Countess Helen Potulicka, Moniuski 4/7, Warsaw*“. Tamże sekretarjat wydawnictwa i redakcja. Prócz tego: „Sekretarjat wydawnictwa udziela wszelkich informacyj, tyczących się kongresów w Holandji, Indjach, i Kalifornji, miejsca pobytu i działalności J. Krishnamurti, oraz nowych wydawnictw. Pozatem kwartalnik udziela wszelkich informacyj, tyczących się Obozów w Holandji, Kalifornji i Indjach, na których przemawia J. Krishnamurti“. Przyczem szczegół nie pozbawiony komizmu: „Całkowite utrzymanie (-(i t. d.)-) 25 dolarów lub 4 dolary dziennie. Dzieci płacą 12,50 dol. zamiast 20 dolarów. Osobne namioty za dopłatą 5 dolarów. Bliższych informacyj udziela *Star Institute Ojaj, California U. S. A.*“. Słowem , ojaj! nie było jeszcze w żadnej dziedzinie człowieka wielkiego, dokoła którego się czyniło tyle wrzawy, reklamy, propagandy i tyle brzęczało dolarów. Nawet dzieciom „pozwala się przychodzić do Niego“ (za opłatą zniżoną...) Zobaczmyż tedy, kim jest ten pan Krishnamurti.

Pozostawmy na boku jego poezje, bo tu mogłoby spotkać nas zastrzeżenie, że różne są gusty. Zatrzymajmy się na jego filozofji i moralistyce. Cała jego nauka — to pusta gadanina, wiecznie wkółko się obracająca. Tu i ówdzie trafiają się powiedzenia głębsze, ale są to strzępy z filozofji ksiąg wedyjskich wyrwane, i jako swoje własne,

oryginalne słuchaczom podane. Plagjaty te o tyle zgrabnie są ukryte, że myśli wedyjskie, z Upaniszadów i z Bhagawad Gity wzięte, pospolitym są językiem wyrażane, spaczone a zawsze luźne, dorywcze, mętne i bez związków z jakąkolwiek całością pozostające. Jeszcze przykrzejszą stroną tych rozpraw i wygłoszeń jest ciągłe wysuwanie własnej pana Krishnamurti osoby na plan pierwszy, dokonywane w sposób naiwny i prostacki. Już to jedno świadczy o pospolitości tego człowieka.

Z przmówień, które wygłasza w obozach, z zapytań jego słuchaczów i z jego odpowiedzi jasno ukazuje się zarówno przygodność tych zgromadzeń chwilowych, jak i bałamutność samej nauki. Trafiające się tu zrzadka mądrości ksiąg Wschodu hinduskiego — czy to Wedyzmu, czy Buddyzmu — ubożone są i zniekształcane tak przez mówcę, jak i przez jego zwolenników. Zdarza się niekiedy zapytanie rozumne, a krytyczne, te jednak p. Krishnamurti z reguły albo milczeniem pomija, albo mętnemi zbywa ogólnikami. Czasem wprost po adwokacku się wykręca. Wszystko razem nie usprawiedliwia rozgłosu, który się dokoła tej osoby czyni. Żartują ci i owi, że pan ów nie jest Hindusem, ale rodowitym Anglikiem, który przybrał sobie szumnie brzmiący pseudonim... (Kriszna jest wcieleniem bóstwa i występuje w poemacie Bhagawad Gita, jako nauczyciel Ardżuny). To jest możliwe, o ile mogę sądzić z tonu i stylu przemówień. Zjawia się przeto pytanie, jaki cel ma cała ta kosztowna blaga międzynarodowa? Jaka sprężyna tkwi w nauce p. Krishnamurti, że go po całym świecie obwożą i niby pułapkę na myszy w każdym kraju nastawiają?

Odpowiedź na te pytania znajduje się między innemi w następującym, typowym wykładzie nowego proroka. Mówi on:

„Człowiek który szuka prawdy, nie ma narodowości, nie uznaje różnicy narodów i granic. To umysł nasz dzieli ludzi na Francuzów i Niemców, Anglików i Hindusów. Człowiek, który dąży do prawdy, wyzwolił się już od sztandarów i barw narodowych, jest przedewszystkiem człowiekiem. (-(Tu opuszczam dziewięć wierszy ogólników.)-) Nauka może wytłumaczyć, że zabarwienie skóry należy do rasy, klimatu, lecz nie jest w stanie przełamać waszych przesądów, sami musicie to zrobić. Nauka nie obali granic twego ciasnego patrjotyzmu, nie wyzwoli cię od nienawiści i nie uczyni cię ludzkim. Jeżeli jednak dążysz do prawdy, to nie dasz się skrępować pojęciem „granic“ i patrjotyzmem, tą gloryfikacją złudnego pojęcia „moje“, rozszerzonego w pojęcie „nasze“. Jeżeli sam zburzysz mury twych przesądów, ciasne ramy nacjonalizmu, wtedy dzięki twemu własnemu zrozumieniu będziesz się mógł posługiwać z korzyścią nauką. Jesteście przedewszystkiem żywemi istotami, ludźmi. Przymus z zewnątrz może na pewien czas was powstrzymać, lecz nie zmieni was do gruntu, nie przemieni waszej istoty. Dopiero wtedy, gdy człowiek stanie się w pełni świadomy, odpowiedzialny za swoje myśli, uczucia i czyny, będzie mógł używać warunków zewnętrznych dla przprowadzenia zmian pojęć, panujących w świecie“.

No tak! Tylko o to chodzi... We mgłach frazesów filozoficzno-moralnych pana Krishnamurti tylko te słowa o „ciasnym“ (koniecznie ciasnym!) patrjotyzmie i nacjonalizmie, o przesądach sztandarów i barw narodowych, granic i t. d. — tylko te słowa są jasno sformułowane. Wielkie nakłady przedstawicielstw, wydawnictw, kongresów, obozów, propagandy i reklamy w szesnastu językach, w szesnastu krajach dla jakiegoś smutnej postaci blagiera, plagjatora, niedouczka — cały ten międzynarodowy aparat puszcza się w ruch tylko gwoli owym raz po raz do „nauki“ wtrącanym osądom o „przesądach“ nacjonalizmu i patrjotyzmu. Że ów „prorok“ jest mętnym matołkiem metafizyki, tem lepiej dla szarlatanerji masonerji! Im więcej mątu w głowach ludzkich, ten łatwiej będzie żydom światem owładnąć. Analogiczną reklamą cieszł się przed kilkoma laty hinduski poeta Rabindranath Tagore, a to z powodu książki, którą napisał o nacjonalizmie. Biedny poeta, pełen patrjotyzmu induskiego, popełnił ten błąd zasadniczy, że pisząc przeciw imperjalizmowi Anglji, nazywał go wszędzie nacjonalizmem. Jakby kto latarni przypisywał wszystkie właściwości armaty. Z tego jednego błędu powstał paszkwil na nacjonalizm, dzieło głupie i śmieszne, ale w tłumach zamęt i ciemnotę szerzące. Była to gratka dla masonerji, więc urządziła poecie i jego książce gwałtowną na całym świecie reklamę. Trochę ucichło teraz o Rabindranacie, zatem dziś inny na masońskim warsztacie.

Jakkolwiek ocenimy zasięg tej szarlatanerji, ze wszystkiego widać, że pieniędzmi rozporządza dużemi i wysiłków nie żałuje. A już Polską najstaranniej się opiekuje. Zamało zwracamy na to uwagi, a toczy się tu wszystkiemi rynsztokami istny zalew błotny literatury żydowskiej, w polskim drukowanej języku. Polska prasa narodowa powinnaby pilniej i z większą znajomością śledzić i demaskować podziemne roboty wrogów, kraj nasz i naród podkopujace, a czytelników przed każdą pułapką ostrzegać.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ALEKSY TOŁSTOJ

CAR IWAN GROŹNY

(FRAGMENT AKTU I)

(Carska sypialnia)

GRZEGORZ NAGOJ

Wielki monarcho, jest ze Pskowa goniec.

CAR IWAN

Niech nowy car go przyjmie, — ze mną koniec.

GRZEGORZ

Ma dobre wieści, — odprawić go szkoda.

IWAN

Niech wejdzie.

GONIEC

Bijąc czołem, książę wojewoda
Jan Szujski z całą pskowską waleczną załogą
Oznajmia, że szturm walny odparto, że drogo
Kosztował napastników, — nam przysporzył sławy:
Król polski po posiłki pobiegł do Warszawy,
Rozkazawszy hetmanom oblegać Psków dalej.

IWAN

Chwała Panu nad Pany! A więc — wytrzymali?

GONIEC

Polacy pięć tygodni podkopy robili,
Pięć tygodni w dzień, w nocy, z harmat w mury bili“

Nasi naprzeciw ryli kontr-podkopy.
Spotkali się pod ziemią. Nasze chłopy
Zdążyły, — nim ich wyparto z tej dziury, —
Zapalić prochy: z Lachami do góry
Za pan brat polecieli...

IWAN

Mów! Mów!

GONIEC

Szturmowali
Ostro przez wyłom: — już — już do miasta wpadali,
Aż tu zasadzka: jak z harmat dostaną
Raz po raz zbliska — w nogi!..

IWAN

Mów! Mów!

GONIEC

Było rano, —
Dopieroż główny atak otrąbiono: —
Sam król dowodził, — więc z mocą zdwojoną
Biją w nas, pną się na mury chmarami!
Nasi ich prażą ogniem, berdyszami,
Ukropem, cegłą, — wszystkiem, co im w ręce wpada...
Ale cóż? Mrowiem lezą, wdzierają się... biada!..

IWAN

Dalej!

GONIEC

Wdarły się Lachy do baszty świnarskiej..

IWAN

Co? A wasza przysięga?! A mój rozkaz carski?!..
Krzywoprzysięzcy! Oczajdusze! Głupcy!
Ten Szujski przysiągł na krzyż... — Świętokupcy!..
Gdzie był Kniaź Szujski?!

GONIEC

Książę ręką własną
Lont do piwnicy rzucił na proch: — jak grom trzasnął
W basztę... Zakotłowało się w tym dymie, w zgrozie...
Kamienie pospadały het — polskim obozie.

IWAN

Mów dalej!

GONIEC

Szturmów już nie było więcej,
Król zdał główne dowództwo w Zamoyskiego ręce.

IWAN

Znak Opatrzności Twojej widzę, Panie,
Znowu nad sobą. — Cóż, „królu" Stefanie?
Śmiałeś wstępować w spory i niesnaski
Ze mną, co jestem władcą z Bożej łaski,
Ty, — władca z łaski szlacheckiego tłumu.
Pskowski mur twardy uczy cię rozumu!
Lach duże straty ma?

GONIEC

O, duże!

IWAN

Ile?

GONIEC

Tak z pięć tysięcy, — rannych drugie tyle.

IWAN

Zaczynamy się, królu, za Połock kwitować.

GRZEGORZ

Wielki carze!..

IWAN

Bojarzy już są? Tu ich wprowadź.

GRZEGORZ

Oddano list do cara od księcia...

IWAN

Jakiego?

GRZEGORZ

... Księcia Andrzeja, syna Michajły..

IWAN

Kurbskiego?!
Kurbski! Kurbski! Cóż pisze jaśnie oświecony?
Przeczytaj!

GRZEGORZ

...„Kurbski, dziś polskiej korony
„Książę, — pozdrawia cara, ongi swego pana"...

IWAN

No, dalej!

GRZEGORZ

Nie śmiem...

IWAN

Czytaj!

GRZEGORZ

„Pod rozwagę brana
„Była przezemnie twoja głupia pisanina
„Uśmiałem się: — Twa pycha pod niebo się wspina!
„Chytrze udajesz skromność, pobielany grobie,
„Oczerniasz mnie, pochwały piejesz sobie
„Zarzuty twe"...

IWAN

„Zarzuty.." on..

GRZEGORZ

„To brednie,
„Godne bab w karczmie, carom nieodpowiednie,
„Że też ci nie wstyd do obcego kraju,
„Gdzie kwitnie retoryka, słać twoje baj — baju!
„Częstujesz mię spowiedzią swoją świętokradczą
„—Jam nie ksiądz. — zbrojnie służę królowi, co władczo
„Panuje nam, wsławiony zwycięskiemi bitwy, —
„Najjaśniejszy król polski, wielki książę Litwy.
—„Z Bożą pomocą jużeśmy ci wzięli
„Połock, Wieliż i Uświat, niebawem z kolei
„Weźmiem Psków. Gdzie twe dawne triumfy, Iwanie?
„Gdzie wodze, co Kazanie brali, Astrachanie?
„Spytaj sumienia: Wszystkich posłałeś pod topór!
„Wojsko bez dobrych wodzów dziś mdły stawia opór,
„Pędzimy je, jak trzodę. — Dławiąc wstyd i szlochy,
„Pojmij, że nie zastąpią wodzów — Skomorochy,
„Że wojna co inszego, niźli pląt z maszkary,
„Że nie starczą składane Wenerze ofiary
„Za bitwy. Lecz o bitwach ty nie myślisz zgoła,
„Uszedłeś... z wojska... jak tchórz"..

IWAN

No „jak tchórz"?

GRZEGORZ

„..Bez czoła
„Rozumiem, że ci hańba dzień i noc doskwiera,
„Że wspomnienie o zbrodniach sumienie rozdziera,
„Więc by oświecić"...

IWAN

Dalej!

GRZEGORZ

...„Twą głupotę,
„Czytaj listy Cycera, są tam myśli złote
„I wzór pięknego stylu. — Niech ci moje proste
„Słowa"...

IWAN

No „proste słowa"?

GRZEGORZ

„Wystarczą za chłostę
„Amen".

IWAN

Bezpiecznie, zdaleka, zza płota
Szczekasz i lejesz na mnie wiadra błota! —
— Wieniec męczeński z moich rąk od siebie
Precz odrzuciłeś i nagrodę w niebie.
— Pisać — starczyło męstwa twej mości książęcej,
W oczy nieśmiałbyś tego rzec!..
Ach, dostać w ręce
Kogo z bliskich mu ludzi, krewniaka, lub druha...
Nic! Nic!.. Wszyscy oddawna straceni... Posucha
Na tę krew! Choćby dziecko...
Nikogo w zapasie
Nie mieć, — to nieostrożność... Żal mi po niewczasie...

Przełożył STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

„Banda“ rozentuzjazmowana Radą Ligi. — Obojętność społeczeństwa — Czy słuszna? — Fałszywa postawa. — Co jest naprawdę ważnego w Lidze — Sprawa „mniejszości“, sprawy Gdańska. — Dwa Rajchmany.

PRZED kilku dniami, będąc u fryzjera, wziąłem do ręki najnowszy numer „Cyrulika Warszawskiego“. Na stronicy tytułowej kolorowa karykatura min. Zaleskiego w otoczeniu zagranicznych mężów stanu, pod spodem tekst, nawiązujący do zabiegów dyplomacji naszej o utrzymanie nadal „półstałego“ miejsca w Radzie Ligi Narodów. O dwie kartki dalej, drugi duży rysunek, również barwny i również odnoszący się do kwestji ponownego kandydowania Polski do Rady Ligi. Oto — pomyślałem — znalazł się organ prasowy, który z naciskiem przypomina opinji publicznej wagę i znaczenie tej sprawy! W środowisku kabaretu „Banda“ panuje przekonanie, że to zagadnienie właśnie najbardziej w chwili obecnej zaprząta czy też powinno zaprzątać myśl społeczeństwa polskiego, że naród cały zapiera dech, „ucho natęża ciekawie“, nasłuchując głosu z... Genewy...

W rzeczywistości zainteresowanie szerokich rzesz temi sprawami jest dziś u nas poprostu minimalne. Chcecie dowodu? Odpowiedzcież sami, czy na powitanie min. Zaleskiego, powracającego w roli trjumfatora z nad Lemanu, wylegną tłumy, już nawet w przybliżeniu nie takie, jakie niedawno składały hołd bohaterom lotniczego „*challenge*“, ale choćby tylko tak liczne, jakie zebrały się dla pozdrowienia przyjeżdżających z Los Angeles rekordzistów sportowej Olimpjady? Społeczeństwo instynktowo zdaje sobie sprawę z faktu, że nawet gdy chodzi o „rękojmie bezpieczeństwa i pokoju“, od formuł genewskich skuteczniejsze okaże się dobre lotnictwo, uzdolnienie pilotów i konstruktorów, a bodaj tylko krzepkość i wytrzymałość fizyczna, ujawniająca się np. w biegu na 5000 mtr., w rzucie dyskiem lub kulą...

Kiedy w r. 1925 i 1926 dyplomacja nasza ubiegała się najpierw o stałe, później już tylko o „półstałe“ miejsce w Radzie Ligi, sprawa ta niewątpliwie podniecała polską opinję publiczną, oceniającą rzecz głównie ze stanowiska zaspokojenia narodowej ambicji. W wyborze Polski na członka Rady widziano przedewszystkiem coś w rodzaju „świadectwa dojrzałości“, udzielanego przez najpoważniejszą organizację międzynarodową odbudowanemu niedawno i powracającemu dopiero do normalnych stosunków z innemi mocarstwami — Państwu Polskiemu. Teraz, gdy „autorytet moralny“ Ligi Narodów jest w stadjum pośpiesznej likwidacji, gdy raz po raz ten i ów członek grozi wystąpieniem ze związku, trudno dziwić się, że nastroje podobne całkowicie już poszły w niepamięć i że ambicja narodowa innego, pożywniejszego pragnie dla siebie pokarmu, aniżeli zaszczyt „reelekcji“ w genewskiem Zgromadzeniu.

Jednakowoż w owem staraniu się o zdobycie najlepszych cenzurek w Lidze i według tego kierowaniu i interesowaniu się całą naszą działalnością na tym terenie, tkwił właśnie błąd zasadniczy. Polska, specjalnie, ma w Genewie do osiągnięcia rzeczy ważniejsze o wiele, niż zaszczyty, ma tam do załatwienia sprawy realne całkiem i najpierwszorzędniejszego dla swej przyszłości znaczenia, a dla tych spraw dzisiejszy stan obniżenia powagi Ligi Narodów stwarza raczej konjunkturę pomyślniejszą. Obecnie, bardziej niż kiedykolwiek, dyplomacja nasza winna tam zdobyć się na śmiałą inicjatywę i stanowczość, zaś opinja publiczna w kraju z niesłabnącą uwagą śledzić przebieg podjętych w Genewie działań.

Tak złożyło się, iż na podstawie traktatów, Polska w najżywotniejszych swych sprawach niezwykle silnie związana jest uprawnieniami różnych organów Ligi Narodów. Wystarczy wspomnieć kwestję ochrony t. zw. „mniejszości“ i cały kompleks spraw gdańskich.

Jak wiadomo, traktat z dn. 28 czerwca 1919 r. czyni z Ligi gwarantkę praw, udzielonych „etnicznym, religijnym lub językowym“ mniejszościom w Państwie Polskiem. Ogranicza on w ten sposób naszą samodzielność, stawiając nas w położeniu podrzędniejszem, już nietylko w stosunku do wielkich mocarstw, ale wogóle w stosunku do normalnych państw suwerennych, w których wewnętrzne zagadnienia Liga Narodów mieszać się nie ma żadnego prawa. Wszak jeśliby naród polski zechciał w pewnych kierunkach zmienić obowiązującą dziś Konstytucję Rzplitej, nota dyplomatyczna z Genewy mogłaby mu przypomnieć, że wewnętrzne czysto kwestje jego ustroju państwowego mogą narazić go na mniejsze lub większe trudności na terenie stosunków międzynarodowych. Zapewne, autorytet moralny Ligi Narodów, po doświadczeniach ostatnich, nie przedstawia się zbyt majestatycznie, ewentualna interwencja z jej strony prawdopodobnie nie mogłaby być ani zbyt natarczywa, ani poważna. Tem większa szkoda, że przez ostatnich sześć lat zasiadania przedstawiciela Polski w Radzie Ligi, nie uczyniono niczego, żeby to, nie liczące się dostatecznie z rzeczywistością, a dla państwowej (już nie „mocarstwowej“ zgoła) godności Polski szczególnie nieprzyjemne skrępowanie, jaknajszybciej, w przewidziany w traktacie sposób usunąć. Dzisiejszy, głęboko sięgający kryzys Ligi zdaje się stwarzać wyjątkowo sprzyjające warunki dla należytego postawienia i przeprowadzenia przez nas tej sprawy.

Kryzys Ligi, mogący, w pewnych okolicznościach, zakończyć się nawet całkowitym jej rozpadem, z niezwykłą wyrazistością ukazuje też znaczenie innej sprawy, dla narodu polskiego pierwszorzędnej, mianowicie kwestji przyszłości Gdańska. Co uczyniła dyplomacja nasza w Genewie, żeby w Gdańsku, znajdującym się w myśl Traktatu Wersalskiego, „pod ochroną Ligi Narodów“, umocnić stanowisko Polski, iżbyśmy mogli spokojnie oczekiwać rozwoju wypadków, niezależnie od takiego czy innego ich biegu w przyszłości? Wszak najmniej bodaj przychylny dla nas, najbardziej chyba stronny na rzecz Niemców z pomiędzy Komisarzów Ligi w Wolnem Mieście, mianowany został właśnie w okresie, gdy p. minister Zaleski oddawna już cieszył się zaszczytem zasiadania na fotelu członka Rady.

Jest więc, ze stanowiska interesów Polski, wiele do zrobienia w Genewie, dzisiaj nawet, w chwili chwiania się i osłabienia Ligi, więcej zapewne, niż poprzednio, i opinja społeczeństwa polskiego jaknajżywiej zainteresować się powinna powyższemi możliwościami i zadaniami. Trzeba tylko pamiętać, oczywiście, że nie w tym celu pro-

wadzi się politykę w Lidze, aby zdobyć fotel członka Rady, ale po to dąży się do członkostwa w Radzie, aby móc prowadzić politykę, w sposób najskuteczniejszy bronić konkretnych, ważnych interesów swojego narodu. Boć nie to przecie jest kresem naszych ambicyj i dążeń, by p. Zaleski od czasu do czasu (w porządku alfabetycznym) przewodniczył na zebraniach Rady, żeby wśród sześciu dyrektorów sekcyj w Sekretarjacie (pensja 53,000 fr. szwajcarskich rocznie) zasiadał jeden przedstawiciel Polski — dr. Rajchman, albo by w t. zw. komisji Lyttona, wysłanej dla zbadania zatargu chińsko - japońskiego do Mandżurji, wśród oficerów — rzeczoznawców wojskowych, znajdował się inny jeszcze przedstawiciel Polski — także Rajchman...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

JAK WIADOMO Z GAZET SANACYJNYCH, czynniki decydujące, coraz wyraźniej uświadamiając sobie powagę niebezpieczeństwa niemieckiego, podjęły stanowczą walkę z siłami „anarchji“ na Pomorzu. Nie przyszło to łatwo. Ostatecznie jednak (czytamy o tem w „Gazecie Polskiej“ z 30.IX) — wojewoda pomorski, ośmielony w dodatku słowem zachęty ze strony ministra spraw wewnętrznych, „okazał chwalebną odwagę decyzji: rozwiązał na powierzonym mu terenie organizacje Obozu Wielkiej Polski“. Zimna krew wojewody w obliczu niebezpieczeństwa germańskiego zaimponowała redaktorom „Gazety Polskiej“. Jednocześnie wiadomość o tem samem zdarzeniu szerokie koła opinji przyjęły z górującem uczuciem — zażenowania, przedewszystkiem za styl politycznych gestów obozu sanacyjnego. I przy okazji rozwiązania Obozu Wielkiej Polski na Pomorzu, jak tylekroć przedtem, do głów cisnęło się pytanie: czemu tak lichy, tak dziwnie kiepski jest gatunek naszego surogatu faszyzmu? Nie o celowość zarządzenia w danym razie nam chodzi, ale o sposób podania do wiadomości i uzasadnienia. Wiadomo, że potężnienie Obozu, zwłaszcza na ziemiach Polski najwyżej cywilizacyjnie stojących, budziło niepokój u obecnych dzierżycieli władzy. Natomiast zawsze jeszcze wywołuje zdziwienie ta uporczywa manjera polityki sanacyjnej, żeby każdy gest wykonać w sposób najmniej godny. Po temu nie przepuści się żadnej okazji. Nawet przez kaprys obóz ten nie zechciał nigdy być rycerskim. Nie w tem szukał dla siebie chwały... To upodobanie do chwytów niesportowych wywołało już reakcję w najmłodszem pokoleniu. Trzeźwo stwierdzić można, że wstręt jest u nas odrębnym a wielce realnym czynnikiem politycznej orjentacji. W dużej mierze niemożnością poczucia szacunku dla metod sanacyjnych tłumaczy się tak gromadne szeregowanie się młodych w ruchu narodowym, usiłującym głębiej, dosłowniej, wszechstronniej pojmować hasło Wielkiej Polski. W dzisiejszych warunkach naraża to nieraz ochotników na konieczność rezygnacji z korzyści i dóbr materjalnych. Jednak zastępy rosną. Trudno się wahać w wyborze, gdy w przeciwnym obozie „sanacji“ pobrzmiewa wprawdzie czasem hasło Wielkiej Polski, lecz jednocześnie w działaniu niezawodnie prawie rewanż bierze polityczna małość.

ODWAŻNEGO GESTU WOJEWODY KIRTIKLISA nie było prawie widać za obwieszczeniem, które pośpieszyła ogłosić agencja „Iskra“. Komunikat jej, suggerujący opinji, że Obóz Wielkiej Polski na Pomorzu składa się z przestępców kryminalnych, to wcale niezły przykład sanacyjnych metod działania, o których wyżej mówiliśmy. Komunikat nie mówił, że Obóz objął w swych szeregach ostatnio rzeszę około 60000 Pomorzan ze wszystkich warstw społecznych. Gdy chodzi o organizację tak liczną i w ten sposób rekrutowaną, nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby do szeregów dostała się czasowo pewna minimalna liczba żywiołów nieodpowiednich, nawet mętów społecznych. Te dwadzieścia kilka wypadków kradzieży, paserstwa i t. d., które suggestywnie wyliczyła „Iskra“, nie mogłoby mieć najmniejszego wpływu na ocenę tak wielkiej organizacji, jak nie mogłyby mieć znaczenia podobne wykazy przy ocenie ruchu faszystowskiego we Włoszech czy w Niemczech — hitlerowskiego. — Nie o to chodzi. Charakterystyczny jest tu najpierw wybór propagandowej broni; pomówienie organizacji politycznej o działalność pospolicie występną. Na jakiż poziom spadlibyśmy, gdyby metody takie weszły w zwyczaj? Czy kroniki politycznych organizacyj sanacyjnych, podobnie ułożone, nie wzięłyby lekko w tym popisie rekordu liczbą, a czasem i ciężarem przestępstw popełnionych? Nie chcemy odpowiadać na to pytanie. Dotąd nie wdawano się w takie wyliczenia przy ocenie politycznej wartości organizacyj ideowych. Wydawało się to zbyt niehonorowe. Metody, do jakich ucieknięto się, podając w prasie do wiadomości zarządzenie o rozwiązaniu Obozu na Pomorzu, niezgorzej uprzytomniają, dlaczego „sanacja“ przyczynia się, więcej niż jakikolwiek inny czynnik, do rozstroju tradycyjnych pojęć o honorze. — Dodać trzeba, że czytelnik komunikatu „Iskry“, snując powyższe refleksje, zadawać sobie musiał jeszcze jedno pytanie: „Czy tylko podane przez agencję wiadomości są prawdziwe“? — Przyzwyczaił się bowiem do tego, że niby nigdy nic rozpowszechnia się wiadomości fałszywe. Przypuszczać mógł, że niektórzy, może nawet wielu z pośród wyliczonych przez „Iskrę“ przestępców, nie są członkami Obozu. Trudno mu było przypuścić odrazu, że komunikat pod tym względem cały jest od *a* do *z* sfałszowany — co po paru dniach na jaw wyszło. Niespodziewanie — akcja była w stylu wytrzymana do końca.

NAUKA I LITERATURA

KAMIENNE RĘKAWICZKI

CHWILI szczęśliwego namysłu zarówno wydawcy, jak autora zawdzięczamy okazały ten tom, przybrany w piękną szatę graficzną, który p. t. „Kamienne rękawiczki“ zgromadził studja i szkice literackie Wacława Borowego. Książka ukazała się staraniem Instytutu Literackiego w Warszawie.

Żywy niegdyś zwyczaj wydawania zbiorowego rozpraw pomniejszych zrzadka jedynie wraca dzisiaj. Bo i czasy nie są potemu. Gdzież myśleć — przy „konjukturze“ ogólnej — o przedruku prac, które znane już były poprzednio. Wyłom, uczyniony przez Borowego, radzi uważajmy za wróżbę pomyślnej odmiany.

Tematycznie studja owe zebrane są z całego obszaru literatury. Zagaił tom z wieku i urzędu — „Książe narodowych rymotwórców“ Kochanowski. Trzy studja naczelne, wyrósłszy z jubileuszowej postawy wobec poety, wolne są przecież od jubileuszowej przykrej retoryki. W bibljografji czarnoleskiej zajmą one miejsce przednie: przynoszą nowe, prawie nieoczekiwane spojrzenie na Kochanowskiego. Szkic tytułowy „Kamienne rękawiczki“ analizuje w sposób właściwy Borowemu, a zatem subtelnie i przenikliwie, żywe do dziś — o czem jeszcze niżej — wartości myślowe i artystyczne owej poezji. Z atmosfery czujnej i wrażliwej reakcji na piękno poetyckie wywieść należy studjum następne: „*Nescio quid blandum*“. Siła ekspresyjna poezji Kochanowskiego występuje tu nieodparcie i suggestywnie, w analizie niedostrzeżonych lub nieocenionych należycie elementów artyzmu poety. Dzieło, poddane analizie, przyrównano do kwiatu, obdartego z płatków. Analiza autora, nietracąca nic z naukowego pedantyzmu, ale pełna intuicji literackiej i kultury, jest oczywistem zaprzeczeniem tego stanowiska. Podpatrzone tajemnice pracy artystycznej poety prowadzą czytelnika do właściwego poznania dzieła czarnoleskiego, które odnajduje znowu świeży i niepodejrzany walor. Głos poezji rozlega się równie żywo dziś — „jak półczwarta wieku temu“. Szkic trzeci ocenia Kochanowskiego jako marynistę.

Z literatury w. XVIII wyrosła druga grupa studjów; najszczuplejsza. Szkic o Drużbackiej przedstawia zależność „Fabuły o książęciu Adolfie“ od „Hipolita“ hrabiny d'Aulnay. Niewielkie, ale jakże zwarte i wzorowe w swej architektonice studja następne o Karpińskim i „Malwinie“ ks. Wirtemberskiej najlepiej bodaj ilustrują metody krytyczne autora. Ujęte w kunsztowną formę *essai* literackiego, w którym Borowy celuje, skrzą się owe artykuły bogactwem inteligentnej obserwacji autora, jego wrażliwości estetycznej i wszystkiemi wdziękami pióra.

Następne przęsło konstrukcyjne książki—to Mickiewicz. W atmosferę filomacką, zawsze atrakcyjną z uwagi na tego, który jej *magna pars fuit*, wprowadza szkic „Towarzystwo Filomatów“. Wskazano z kolei niezauważone a fundamentalne zręby „Dziadów“: magnetyzm i teozofję. Próba wyjaśnienia zagadkowości w kompozycji „Dziadów“, zakwestjonowana ze strony najbardziej kompetentnej (prof. Pigoń w „Przeglądzie Warszawskim“, 1922, 12), w swej lekkiej choć erudycyjnej u podstaw konstrukcji, nie utraciła nic z naukowego polotu; nie zdradza też najmniejszego uchybienia w ściegach logicznej myśli. Trzebaby ją albo całą przyjąć, albo całą odrzucić. Rozbudowywać, uzupełniać nie sposób. Z pełnym wzruszenia sentymentem dla arcypoematu, ukazał następnie Borowy zarysy Nowogródczyzny mickiewiczowskiej, wydobyte z pilnej lektury „Pana Tadeusza“.

Wymykają się z grup kompozycyjnych książki studja końcowe: luzem idą rozważania „Z dziejów uczuciowego uprawnienia żydów“ w piśmiennictwie polskiem, spisane na marginesie „Romansu w romansie“ J. F. Królikowskiego. Znalazło się tu następnie dawno wyczerpane, nieznające pozgonnego panegiryzmu studjum o Chlebowskim, jako krytyku i historyku literatury. Tom zamyka „Wisła w poezji polskiej“.

Oto jest spis rzeczy książki. Sumarycznie dokonany przegląd treści miał wskazać rozległe perspektywy historyczne oraz zapoznać z bogatym wątkiem literackim „Kamiennych rękawiczek“.

— „Kamienne rękawiczki“ — cóż oznacza ten tytuł? Tytuł książki Borowego jest czemś więcej, aniżeli tytułem pierwszego szkicu. W tych dwóch słowach jest naprawdę cały ton; ale nietylko ton: także cały program i stanowisko.

I tu czytelnik pomyśli o modzie, której ulegają... tytuły literackie. Był czas, że książki o treści podobnej ukazywały się opatrzone nagłówkiem: Zarysy literackie, studja, szkice, wrażenia, rozprawy, pisma (np. Chmielewski, Krzemiński, Zdziechowski, Popławski, Matuszewski, Jabłonowski, Potocki...). I był czas, gdy tomy poezyj — Konopnickiej, Asnyka, Tetmajera — ogłaszano, o czem ktoś przypomniał niedawno, skromnie pod niewiele mówiącym tytułem: Poezje serja I, serja II... Dziś zmieniła się moda i na to. Tytuł musi zaciekawiać, pociągać, brzmieć interesująco. Rzecz ma całą historję, sięgającą wgłąb piśmiennictwa, wartą pióra powołanego.

Tom, który leży przed nami, przeznaczony jest dla czytelników; nietylko dla historyków literatury, polonistów. Tytuł, brzmiący atrakcyjnie i efektownie, musi pomóc książce w spełnieniu jej zadania. Tytuł jest pierwszym atutem, wygranym przez autora.

O cóż więc chodzi? Szczegół jest drobny, ale charakterystyczny; kryje też ustosunkowania zasadnicze.

Za najbardziej wiarogodny portret autora „Trenów“ uznaje Borowy nagrobek w Zwoleniu. Otóż „w odwzorach i opisach“ zwoleńskiej wypukłorzeźby

> „istnieją dwie wersje. Wedle jednej, Kochanowski trzyma w prawej ręce zwój papieru, wedle drugiej — rękawiczki. Drobiazg to oczywiście, ale w swej swoistości dosyć dla naszego stosunku do Kochanowskiego znamienny. Człowiek ze zwojem papieru i człowiek z rękawiczkami — to dwaj ludzie odmienni. Człowieka ze zwojem papieru widujemy przeważnie na starych nagrobkach, człowieka trzymającego rękawiczki możemy zobaczyć każdej chwili, wyszedłszy w ciepły dzień na ulicę. Prawdziwa jest wersja druga ale obydwie te wersje mają swoją symboliczną wymowę Kochanowski jest czemś wybitnie historycznem, jak stary dokument, który się uroczyście piastuje, i zarazem czemś zupełnie współczesnem, jak rękawiczki w ręce człowieka, wychodzącego na przechadzkę. Dwojakie więc możliwości wykładu upozowania portretowego mogą dla nas być symbolami dwojakiego sposobu patrzenia na poetę“.

I w czasach, gdy „najczęściej zwój papieru dominuje nad rękawiczką“, Borowy podnosi śmiało kamienną rękawicę i rusza z nią na przechadzkę — naukową. Porzuciwszy historyczny stosunek do literackiej przeszłości, opiera się na założeniach, nierównie bardziej twórczych. Stare i zakurzone teksty wertuje erudyt, który jest także żywym człowiekiem. On to z pokładów szacownych, ale — zdawało się — zgoła martwych, dobywa pełnemi garściami sprawy, rzeczy i wyrazy naszego dnia. Osłania je przygniatający zwój papieru. Scholje komentarzy, przypisów, objaśnień nie są jednak celem same dla siebie; są środkiem pomocniczym do zrozumienia — kogo? — tego poety z kamiennemi rękawiczkami, który niespodziewanie staje przed nami młodszy i bliższy, niżbyśmy sądzić mogli, sądząc go na odległość.

Tak właśnie odzyskaliśmy nowego Kochanowskiego; nietylko artystę: także człowieka. Niezawodną dłonią wskazuje Borowy brak jednorodności i wszelkie jego konsekwencje w organizacji duchowej poety. Kochanowski „ze dwojej złożony natury“ — „w swych sprzecznościach może się... nam wydać niezmiernie współczesny“. Dwoistość i wewnętrzna kontrastowość natury ludzkiej jest wszak równie żywa dziś, jak za renesansu. Poezja czarnoleska przestaje być zabytkiem, nabiera barw, rumieńców, daleka od mumifikacji, dostępna wzruszeniom ludzi najpełniej współczesnych. Okazuje się, że Kochanowski jest pierwszym w literaturze... „inteligentem polskim“. Miara współczesności, przyłożona przez Borowego do spraw pozornie dalekich, nie zawodzi. Jakże słusznie nazywa autor Rozprawę o Czechu i Lechu — artykułem, prawie artykułem dziennikarskim, „napisanym w zupełnie taki sam sposób, jak dziś artykuły się pisze“. Jakże słusznie niejedne tony poezji Kochanowskiego zdają się krytykowi — conradowskie.

Oto „Malwina“ ks. Marji. Powiecie, że „Serc rozkosze niezmienione“ pozostawić już należy historykom powieści? Ale Borowy jednem pociągnięciem pióra skraca dystans między „Malwiną“ a... Nałkowską, i prymityw ks. Wirtemberskiej odzyskuje znowu „urok ciągle żywej prawdy psychologicznej“.

Lub oto Karpiński. Syntetycznemi linjami kreśli Borowy nieznany dotychczas profil poety, — poety ubóstwa, „biedy inteligenckiej", — i rzucony jest „pomost, zbliżający najbardziej do poezji Karpińskiego dzisiejszego czytelnika". No i t. d. — nie mnóżmy przykładów.

Najważniejsza to zdobycz studjów Borowego. Przebiegając te karty, zyskujemy nowy stosunek do spraw literackiej przeszłości. To dość. To starczy na pochwałę książki.

Powiedziano: Nie można napisać dobrego artykułu sprawozdawczego o dobrej książce. Tylko o złej książce pisze się dobry artykuł. Zaleceniem notatki o „Kamiennych rękawiczkach" niechże będą one same: „Kamienne rękawiczki" Wacława Borowego.

TADEUSZ MIKULSKI

„JAK SIĘ TO PISMO NIEJASNE WYKŁADA"?

Od p. Wacława Kubackiego z Krakowa otrzymujemy interesujące uwagi, które poniżej zamieszczamy w skróceniu, zalmeniając teksty Pisma Św. w tłumaczeniu ks. Szczepańskiego na teksty dawniejszego przekładu ks. Wujka, t. j. tego, który czytywał Norwida (Red.).

PAN Boy Żeleński w artykule „Duch Adama i skandal" („Wiad. Lit." nr. 457) szuka prawdy na szlaku poezji Norwida. Już samo nazwisko Norwida zdolne jest wzbudzić zastrzeżenia. Skondensowanie treściowe, skróty, swoista składnia mogą być powodem wielu nieporozumień i niepotrzebnych zgoła egzegez. (A przecież idzie o rzecz niemałą). Mimo to niesposób odmówić interpretacji Boya świeżości, powabności i pomysłowości. Błędem natomiast jest dopatrywać się jakiejś konspiracji w następujących zwrotkach:

3.

Więc pokazał się naprzód Magdalenie
Podobny Panu, jak swym wzorom cienie
Podobne wiernie...

4.

I na Emaus idącym powiada,
Jak się to pismo niejasne wykłada,
Że laur to ciernie...

Boy pisze „dużo tu zagadek"... (opuszczam) kto owa Magdalena, której się „naprzód pokazał"? Co wyraża aluzja, w której poeta pismo swoje sam nazywa „niejasnem"? Czy jest tak samo rozmyślnie niejasne (podkr. Boy'a) i z tych samych przyczyn, z jakich musiał być wypunktowany finał wiersza „Coś ty Atenom zrobił?..."

Sprawa jest tym razem jasna.

Więc pokazał się naprzód Magdalenie
Podobny Panu... (zwrotka 3)

Norwid poprostu widzi podobieństwo między faktem, że nabożeństwo żałobne przy zwłokach Mickiewicza odprawia się w kościele św. Magdaleny, a sytuacją z ewangelji Marka, gdzie czytamy, że Chrystus (według Wujka) „wstawszy raniuczko pierwszego dnia szabbatu, ukazał się naprzód Mariiey Magdalenie" (XVI, 9 — 10). Ciało wieszcza przywiezione ze Stambułu oglądał naprzód kościół św. Magdaleny.

I na Emaus idącym powiada,
Jak się to pismo niejasne wykłada,
Że laur to ciernie... (4)

Zwrotka ta jest dalszem snuciem analogji ewangelicznej. Łukasz opowiada, jak Jezus po zmartwychwstaniu dołączył się do dwu uczniów idących do Emaus, „a począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków, w y k ł a d a ł im we wszystkich piśmiech, co o nim było" (XXIV 27 — 28). Uczniowie potem wspominali: „Izali serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił w drodze i pisma nam o t w i e r a ł"? (Łuk. XXIV 32—33). A wykładanie niejasnych miejsc Pisma, odnoszących się do Mesjasza było konieczne, bo jak mówi św. Jan o apostołach „albowiem jeszcze n i e r o z u m i e l i pisma, iż potrzeba było, aby On wstał z martwych" (XX. 9) (podkr. moje).

Z tych zestawień widać, że interesem poetyckim było tu rozprowadzenie analogji biblijnej, subtelna paralela, a nie ukrywanie skandalu. Nie brak było Norwidowi odwagi cywilnej. Umiał nie bawić się w „takt towarzyski" (sprawa wiersza „do autora trzech psalmów"). To nie swoje pismo nazywa Norwid „niejasnem", jak pisze Boy. „Tem pismem niejasnem" (będącem *„en passant"* aluzją do wyżej wskazanych miejsc ewangelij) jest fakt-paradoks, „że laur to ciernie". Śmierć, a może tylko pogrzeb wieszcza przywodzi na myśl— w y k ł a d a — tę gorzką prawdę. Nie zapominajmy, że ten sarkazm powstał pod piórem człowieka, którego nie zrozumiano, zlekceważono, dla którego laur był cierniem.

Nie trzeba dodawać, że ewangeliczna emalja tych dwu zwrotek nie jest niczem dziwnem. Pismo św. było częstą lekturą poetów romantycznych, a tem bardziej mesjanistycznych. W dodatku Norwid pisał o wielkim mesjaniście i byłym uczniu - namiestniku Towiańskiego.

WACŁAW KUBACKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pamiątką dorocznego zjazdu Polskiego Tow. Językoznawczego w r. 1931 jest biuletyn tego Tow. (zeszyt III) wydany z opóźnieniem dopiero teraz (skład u Gebethnera i Wolffa). Na czele tej księgi umieszczono arcyciekawą rozprawę ks. dr. K. G o ł ę b i e w s k i e g o (z Torunia) p. t. *„Le langage d'aprés St. Augustin"*. Treść tej rozprawy jest wręcz rewelacyjna, okazuje się bowiem, że genjalny umysł biskupa Hippony już 1500 lat temu poczynił na polu językonawczem wspaniałe odkrycia, do których z wielkim mozołem doszli uczeni dopiero na początku wieku XX-go. Jego spostrzeżenia i uwagi — nie zebrane systematycznie, ale zajmujące wiele miejsca w dziełach *„De Trinitate"*, *„De catechizandis rudibus"*, *„De doctrina christiana"*, *„De musica"* — dotyczą głównie stosunku między mową i myślą, między wyrazem i pojęciem (semantyka), oraz pochodzenia mowy. Psychologiczne fundamenty mowy ludzkiej ukazują się w jego przedstawieniu wyraziście i przekonywająco.

W dłuższem streszczeniu podany został odczyt prof. K l e c z k o w s k i e g o na temat pochodzenia wyrazów staropolskich g a m r a t i g a c h; wbrew Lindemu, Karłowiczowi i Brücknerowi prelegent wywiódł te oba wyrazy od imienia Gamureta, bohatera średniowiecznej epopei dworskiej. Prof. Rudnicki, który na kartach *„Slavia Occidentalis"* dzielnie wojuje w obronie prasłowiańskiego charakteru ziem naszych, dał pracę p. t. „O pierwotnych indoeuropejskich mieszkańcach dorzecza Wisły i Odry", wykazując, że odwieczne nazwy rzek i miejscowości na wspomnianym obszarze łączą się z językowemi elementami mowy polskiej. J. Kuryłowicz zajął się trudną sprawą charakterystycznego dla polszczyzny (i niektórych języków słowiańskich) dopełniacza liczby mnogiej rzeczowników męskich (np. synów, panów) zastępującego pierwotny biernik (syny, pany), wysuwając hypotezę, że punktem wyjścia stać się mogło dwojakie znaczenie owych rzeczowników: męskie i „ogólne". — Podana bardzo treściwie rozprawa W. D o r o s z e w s k i e g o „O elementy języka: głoski i fonemy" zawiera momenty nader ważne i godne szerszego ujęcia (autor zapowiedział taką właśnie obszerniejszą pracę na ten temat); m. in. zdanie: „uwaga językoznawcy winna się kierować nie na dźwięki jako ideje (przedmioty idealne), lecz na działaczy, n a l u d z i m ó w i ą c y c h". W „Kilku uwagach o semantyce" prof. Doroszewski odgranicza na danem polu pracę językoznawcy od pracy logika i psychologa, wyznaczając każdemu z nich właściwy teren działania.

W książce omawianej mieści się „nad program" jeszcze rzecz jedna, a mianowicie obszerna rozprawa Denzela Carra p. t. *„A Characterization of the Chinese National Language"*, pierwsza chyba na ziemiach polskich większa praca sinologiczna. Czyta się ją z zajęciem, zwłaszcza że autor umiał poprostu i jasno przedstawić sprawy tak trudne, jak sprawa akcentu chińskiego czy dialektów chińskich, czy wreszcie pisma. — Czytelników rozprawki B. Prusa, drukowanej niedawno w „Myśli Narodowej", zainteresuje podany przez Carra procent rzeczowników i czasowników w poszczególnych językach (rzeczowniki: j. chiński 72, jęz. angielski 49, j. niemiecki 47, j. polski 46 i czasowniki: chiński 19, ang. 49, niem. 20, polski 17); można stąd snuć różne wnioski o charakterze i intensywności tych języków. Nadmienić należy, że znajomość języka chińskiego czyni w społeczeństwie polskiem po wojnie ogromne postępy. Najwyższej pochwały godne jest na tem polu Akademickie Koło Badania Chin, którego biuletyny, drukowane w charbińskim „Tygodniku Polskim", powinnyby ukazać się jaknajrychlej w formie książkowej. (J. B.)

*

Jeżeli zrozumiałe były powody, dla których cenna i pożyteczna książka dr. Macieja Loreta o „Italji Współczesnej" została wydrukowana we Włoszech, to trudno zrozumieć, czemu właśnie w Rzymie a nie gdzieindziej wydano zbiorek wierszy T a d e u s z a C z a r n o w s k i e g o „Z kryształowej niebios czary". Książce to bynajmniej na dobre nie wyszło, gdyż po pierwsze utrudniło jej dostęp do polskiego czytelni-

ka, powtóre zaś naraziło ją na fatalne błędy druku. Zecer - Włoch, nie rozumiejąc polskich słów, ani biegu polskich wierszy, dzielił je wedle własnego widzimisię, z czego wynikły dziwolągi graficzne, mimowoli przypominające ekscentryczność niektórych futurystów; np. tak wygląda w druku początek jednego z wierszy w dosłownej transkrypcji:

Ja sie, tak
modlę do Matki Maryi:
O Matko Chrysta! Jak ptaszyna
drżąca, któremu cudem Bóg skrzy-
dła przypina — tak serce moje
chce dążyć do słońca.

Albo wiersz drugi („Dziecino moja"):

Dziecino moja! Kiedy na przestrzeni
Słońce złociste swe wstęgi rozpina — po
módl się za mnie tak: „O Jezu Chry-
ste! Dałeś mu serce z tęsknoty pło- (r y m?!)
mieni, niemi się cieszy jak mała pta-
szyna...
dałeś mu myśli z których każda spie-
szy w pasma błękitów, jak orły sre- (r y m?!)
brzyste, i z których każda sięga pragnień
szczytów, na nich ciche tęsknoty za- (r y m?!)
pala; na nich się czasem promień (c z y r y m do
słońca złoty zamknie tęczowym blas- [„p r a g n i e ń"?)
kiem... i t. d. i t. d.

W tym stylu i w tej formie utrzymany jest cały zbiorek, więc te dwie próbki służyć mogą za charakterystykę całości. Mieszczą się tu wiersze treści przeważnie religijnej, w uczuciu niewątpliwie szczere, choć naogół konwencjonalne w wyrazie. Autor używa wielu słów niepotrzebnych, albo takich które już dawno utraciły swą wartość, jaką miały np. za lat romantyzmu: „tęcza", „głębina", „tęsknoty", „perła" i t. d. i t. d. Nadmiar tych wyrazów sprawia, że „tęcza" szarzeje, „głębina" staje się synonimem płytkości, „tęsknota" — która miewała znaczenie twórczego poszukiwania, lub zranionego uczucia — utożsamia się z drzemką poobiednią. Podobnie w muzycznej dziedzinie wiersza autor nie zdobywa się na oryginalność; męczy nas czasem monotonja poprawności, jaką łatwo uzyskać można przy odrobinie dobrej woli przez dłuższe wczytywanie się w uznanych poetów. Z poetami tymi Czarnowski jest zbytnio za pan brat, skoro poświęca wiersze, niby kolegom jakim, „Julkowi Słowackiemu" i Zygmuntowi (czemu nie Zygmusiowi?) Krasińskiemu. Jeżeli ktoś tak często w wierszach wspomina o pokorze, powinien naprawdę być pokorny i popracować nad sobą, jeżeli chce tworzyć rzeczy mające wartość. Przedewszystkiem zaś nie należało się spieszyć z debjutem. Uniknęłoby się wtedy wielu usterek, niedopatrzeń, a także i owego *curiosum* graficznego, które nam mocno przypomina słynną „Kokosznicką z domu Jędykowiczównę" w arcypoemacie Mickiewicza. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Okresem wczesnego średniowiecza zajmuje się w książce „*The Making of Europe*" prof. C h r i s t o p h e r D a w s o n (London. Sheed and Ward. 1932). Stawia on sobie zadanie przedstawienia tych pierwiastków, z których splotu powstała cywilizacja zachodnio - europejska. Mówi więc o chrześcijaństwie, o Rzymie starożytnym, o Bizancjum, o Islamie i o ludach „barbarzyńskich". (K).

*

L e o n D a u d e t strzela książkami jak z karabinu maszynowego: nie zdążyli jeszcze czytelnicy przeczytać jego „Deszczu krwi" *(„La pluie de sang")*, a tu, niemal w tym samym miesiącu, wychodzi nowa jego książka „Poszukiwanie piękna" *(„La Recherche du Beau"*, wyd. Flammarion, str. 282). Zajmuje się tu autor pięknem pod trzema jego postaciami: cielesną, intelektualną i duchową: „piękno cielesne" — powiada Daudet —" bywa raz czyste, inny znów — nieczyste. Intelektualne jest raz proste, to znowu złożone. Duchowe jest czyste, z racji samej istoty swojej. Jedno i to samo wzruszenie pozwala ludziom dobrze obdarowanym odczuwać te trzy formy piękna, które — wszystkie trzy — mogą wydawć arcydzieła i podnosić ton życia".

Nie są to rozważania teorytyczne z dziedziny estetyki, lecz bardzo szczery (niekiedy — zanato szczery) wyraz tego, jak sam Daudet odczuwała owe „trzy formy pękna", i jak podnosiły one ton jego życia. Opowiada więc nam w szeregu wspomnień z własnego życia, w jakich okolicznościach, w spotkaniu z ludźmi, w obcowaniu z dziełami sztuki, wobec uroków natury oraz potężnych przejawów myśli ludzkiej, objawiało mu się piękno, jak uskrzydlało jego ducha i wzmagało siły twórcze. Wspomnienia te drgają pełnią życia jednostki, której wrażliwość jest ogromna, na nią bowiem składa się żywa zmysłowość, sprawność wszystkich zmysłów, zarówno jak i duża kultura intelektualna i duchowa. Mówiąc o tem, jak sam odczuwał rozmaite formy piękna, Daudet ocenia jednocześnie wartość tych przedmiotów (arcydzieł natury, sztuki, literatury, czynów ludzkich), które były źródłem jego rozkoszy estetycznej. Wróg konwencjonalnego piękna daje się tu często we znaki temu wszystkiemu, co przeszkadza ludziom w należytem jego odczuciu i zrozumieniu. (W. J.)

*

Znany krytyk, H. M a s s i s, autor cennych studjów literackich („*Les Jugements*", „*Réfléxions sur l'art du roman*" i t. p.) oraz książki, poświęconej obronie cywilizacji zachodniej („*La Défense de l'Occident*"), wydał świeżo zbiór swoich artykułów krytycznych, p. t. „*Dix ans aprés*", w których ocenia twórczość literacką Francji po wielkiej wojnie. Uwagi M a s s i s'a, niepozbawione z wielu względów słuszności, grzeszą jednak zbyt wielkim pesymizmem. Trudno bowiem zgodzić się z takim np. poglądem autora: „Nie mieliśmy ani tragedji, ani epopei, ani liryzmu, a z trudem można powiedzieć, żeśmy mieli powieści". Sąd powyższy zbyt jest surowy, gdyż w ostatnich latach nie brak było we Francji wcale dobrych powieści; dość tu przytoczyć niektóre utwory M a u r i a c'a, L a c r e t e l l e'a, C h a r d o n n e'a, S c h l u m b e r g e r'a, J. R o m a i n s'a i w. innych powieściopisarzy. Starsze pokolenia także nie próżnowało w tem dziesięcioleciu, a nawet najstarsze (B o u r g e t n. p.) wydało w tym czasie parę dobrych rzeczy. Na jedno wszakże można zupełnie zgodzić się z Massis'em, mianowicie, że industrjalizacja twórczości postąpiła znacznie w tym okresie. (W. J.)

*

Poeta i powieściopisarz, L u c D u r t a i n, wydał szereg portretów literackich p. t. „*D'homme à homme*" (wyd. Flammarion), w których charakteryzuje wybitniejszych pisarzy swego pokolenia, między innemi P. C l a u d e l a, P. V a l é r y'ego, J. R o m a i n s'a, G. D u h a m e l'a i t. p. Jest tu również wspomnienie, poświęcone S t e f a n o w i M a l l a r m é'm u, oraz szkice o M i c h a l e A n i e l e i B e e t h o v e n i e, książka niebanalna, wyróżniająca się świeżością poglądów, oryginalnym sądem, nieraz dowcipem i fantazją. (W. J.)

*

Parę słów wspomnienia należy się zmarłemu w tych dniach wybitnemu estetykowi i historykowi R o b e r t o w i d e l a S i z e r a n n e autorowi pięknej książki o J. Ruskinie (istnieje przekład polski) oraz znakomitego dzieła, dotyczącego sztuki Renesansu, p. t.„*Masquse et Visages*". (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OTWARTA niedawno w Instytucie Propagandy Sztuki wystawa nie należy zjawisk codziennych. Chociażby z tego względu, że artyści wcale w niej nie biorą udziału. Wygląda to na paradoks, dlatego też trzeba wyjaśnić, na czem właściwie istotny stan rzeczy polega. Mówiąc o nieobecności artystów, mamy na myśli ludzi, którzy, się uczyli malować, lub rzeźbić. Takich tu niema. Ale z drugiej strony, gdyby nie artyści byli twórcami wystawionych prac, nie zasługiwałyby one na miano dzieł sztuki. A wystawa zgromadziła ich sporą ilość i niektóre naprawdę są bardzo piękne. Złożyły się na nią dwie oddzielne imprezy, różne w typie, połączyła je (może przypadkowo) wspólność czasu i miejsca, oraz, co ważniejsze, cecha wspomniana na początku. Jedną jest wystawa sztuki dziecka, rysunków dziecinnych, zorganizowana za pośrednictwem pisma dla dzieci p. t. „Płomyk", druga — rezultatem konkursu, ogłoszonego przez „Wieczór Warszawski", pod hasłem, „Szukamy nowych talentów". Pierwsza, aczkolwiek również ciekawa, nie stanowi, pod pewnym względem, takiej rewelacji, jak druga. Pokazy rysunków dziecka

nieraz już były urządzane. Sposób widzenia i odtwarzania rzeczywistości przez dzieci, jest już w ogólnych, przynajmniej, zarysach znany i zwracanie się do nich po prace nie zostało połączone z oczekiwaniem odkrycia czegoś niespodzianego. Natomiast drugi konkurs stał się prawdziwem sięganiem w niewiadome. Trzeba tu wyjaśnić na jakich podstawach został oparty cały pomysł. Z ogromnej liczby osób, opuszczających uczelnie artystyczne, tylko niewielki odsetek może pracować z pożytkiem na niwie sztuki. Oczywiście okoliczności mogą zniszczyć i wielki talent i niedopuścić go do szeregu pożytecznych, ale my tu mamy na myśli ogromny balast tych, którzy popełnili omyłkę wybrania nieodpowiedniej dla nich drogi artystycznej. Obserwując ten objaw można postawić wniosek: skoro jedni popełniają błąd przypisywania sobie zdolności nieistniejących, mogą zdarzyć się i tacy (oczywiście rzadziej) co, odwrotnie, nie widzą zalet, któremi ich natura obdarzyła. Pamiętajmy i o tych, którym, mimo chęci, okoliczności życiowe nie pozwoliły się kształcić, a także o tych, którzy poczuli w sobie powołanie do sztuki, gdy już na naukę było zapóźno. Do nich właśnie, ogólnie mówiąc dyletantów, a nie artystów z zawodu, zwrócili się inicjatorzy konkursu. Oczywiście nie spodziewano się, aby odwrócenie normalnie przyjętego porządku rzeczy już samo przez się, automatycznie, miało przynieść dobre rezultaty. Chodzi tu o wyszukanie wartościowych jednostek, przez taki właśnie, jedynie dla nich dostępny sposób, zaprezentowania się, a dla nas dotarcia do ich sztuki. A drugie i daleko ważnteisze: ukazanie wszystkim t. zn. artystom i widzom nowych świeżych i twórczych pojmowań świata widzialnego, zrodzonych absolutnie poza domeną wpływów sztuki, niejako urzędowej i jej atmosferą. Miło jest wygrzebać i pokazać światu jeszcze jeden talent, ale daleko bardziej cenne staje się ukazanie talentu i n n e g o. Czy pomysł okaże się szczęśliwy w rezultacie, trudno było zgóry przesądzać. Miał on swoich entuzjastów i przeciwników. Tych ostatnich przekonał zapewne nadspodziewany wynik konkursu. Oczywiście nadesłano i mnóstwo śmieci. Na to jury konkursu było odrazu przygotowane. Wszyscy rzekomo pokrzywdzeni, odrzucani na wystawach, przy egzaminach do szkół artystycznych i t.d. autorzy i autorki obrazków z pieskami, kotkami, główkami, kwiatkami jeszcze raz spróbowali szczęścia. Niektóre z tych rzeczy były nawet — tem gorzej — malowane z pewną wprawą. Tu trzeba powiedzieć o stanowisku zajętem przez sędziów. Ponieważ sama impreza nie miała charakteru codziennego, należało stosować odmienną od codziennej miarę sądu. Byłem jednym z członków *jury* i mogę powiedzieć, że sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się, stała się dla nas niezmiernie ciekawą i pouczającą. Oglądając obrazy dyletantów nie mogliśmy, naturalnie, wymagać od nich ani techniki, ani zbytniej znajomości rysunkowej. Nie robiliśmy tego jednak przez pobłażliwość. Wcale nie. Im obraz, lub rzeźba były, w pewnym sensie, lepsze — tem gorzej. Nie szukaliśmy wiedzy, ani rutyny, tylko zdolności odczucia, świeżości ujęcia. Cieszyło nas, gdyśmy je odnaleźli w mozolnym i nieuczonym sposobie wysławiania się, a jeszcze bardziej gdy — we własnem spojrzeniu na świat. Dzieł jakich wyłowiliśmy garść wcale sporą, wśród nich niektóre wręcz rewelacyjne. I dlatego warto było urządzić taki konkurs. Rzecz charakterystyczna: najlepsze prace nadesłali rzemieślnicy, przeważnie ludzie starsi. No, ale pisząc o tem wkraczamy już w omówienie samej wystawy, co chciałbym zrobić nystępnym razem, tymczasem zaznajamiając czytelników z historją i ideą samego konkursu.

WIKTOR PODOSKI

FILM

MAJESTIC: „Głos Pustyni“ wytwórnia „B. W. B“. reż. M. Waszyński.

Przedewszystkiem, żeby im uwierzyli, że film robiony naprawdę w Afryce, a nie w Piasecznie — pofotorafowali wszystko „afrykańskie“, co tylko się dało: pustynię, palmy, kaktusy, białe domy, minaret mużzeina, derwisza, spahisów, fellaha, Amanulacha, wielbłądy, kobrę i Dekobrę. Do Nory Ney powiedzieli: „Ponieważ pani jest najzdolniejsza (-(rzeczywiście jest zdolna)-) proszę ciągle coś przeżywać, a operator będzie robił zbliżenia“. Reżyserja? Scenarjusz? Poco? Jak ludzie zobaczą Boda w burnusie, krzyczącego po arabsku, Brodzisza pod palmą, Norę Ney w bransolotach, to się tak zachwycą, że o reszcie zapomną. I nakręcili. Wygląda to mniejwięcej tak: Piaski. Spahisi pędzą co koń wyskoczy przez pustynię. Oaza. Palmy daktylowe. Całują się. Nora Ney „przeżywa“. Zbliżenie. Piaski. Spahisi pędzą. Oaza. Kaktusy. Całują się. Nora Ney „przyżywa“. Zbliżenie. Ha! niewierna... (efekt dźwiękowy). Piaski. Spahisi. Oaza. „Giń psie!“ (efekt dźwiękowy). Nora Ney „przeżywa“. Zbliżenie. Palmy. Cał... Macie dosyć? I ja też.

P. S. W. Conti miał kilka momentów szczerych, a niektóre sceny walk — rozmach.

STYLOWY: „Mata Hari“ wytw. Metro-Goldwyn-Mayer.

Jak niemal wszystkie filmy z Gretą Garbo, tak i ten odznacza się b. poprawną banalnością. Jest to rodzaj romansu sensacyjnego. Można uważać, że Garbo została w pewnym sensie zmarnowana. Ponieważ jest gwiazdą, daje się jej jakich takich reżyserów, dużą sumę na koszta filmu, pozatem nic. Jedyną wartością tak pojętego dzieła staje się ona sama. Ale przecież aktor stanowi tylko cząstkę skomplikowanego mechanizmu filmu. Jeżeli zgodzimy się nawet na supremację aktora, chcielibyśmy widzieć drogocenny kamień w godnej jego oprawie. Tu są tylko dwa pomysły reżyserskie dobre. Pozatem, prawie ciągle, djalogi we wnętrzach. Grę Grety Garbo możnaby nazwać stylizacją uczucia — inteligencja je zabija, stąd oschłość. Mimo to trzeba stwierdzić jeszcze raz: jest to jedna z najkulturalniejszych i najbardziej indywidualnych aktorek filmowych.

ATLANTIC: „Dama w smokingu“, reż. A. Genina.

Komedja o wątku teatralnym, jednakże tak wygrana, zapomocą sytuacyj i — nie można inaczej powiedzieć — maszynerji mimicznej, niesłychanie precyzyjnej w swej lakoniczności i pojętej kinowo, że nic z uroku i zabawności w wydaniu filmowem nie traci. Ujmuje nas jej pogoda, wszystkie atuty wygrywa, nie posługując się utartym dzisiaj sposobem dowcipkowania — już to samo jest coś warte.

Reżyserja inteligentna. Strona dźwiękowa b. starannie opracowana, ujmuje efekty szmerowe w rytm muzyczny; w niektórych chwytach znać wpływ René Claire'a. Świetna gra aktorów.

KANDYD

SPROSTOWANIE

Wskutek zagubienia listu nie mogliśmy dać w swoim czasie poniższego uzupełnienia. Chodzi mianowicie o artykuł „Łup Mefista“ w nr. 31 „Myśli Narodowej“. Przy dopasowywaniu tekstu do miejsca rozporządzalnego usunięto *motto*, umieszczone na czele, mianowicie słowa Goethego: *„Vor allen haltet auch an Worte* (Mefistofeles). Ironiczne te słowa wiązały się z treścią artykułu i wyjaśniały znaczenie tytułu i szeregu zdań w tekście. Ze względu na wysoką wartość artykułu i szacunek, jaki mamy dla autora (pseudonimu *Simplex* użył w tym wypadku bardzo wybitny pisarz), prosimy czytelników o wprowadzenie tej poprawki do przechowanego zeszytu.

OFENSYWA

DOSTOJEWSKI W NIEŁASCE

PSYCHJATRA rosyjski A. M. Jewłachow w specjalnem studjum „udowodnił", że wielki Tołstoj był epileptykiem...

Jubilat Gorkij w swych niedawno produkowanych „Wspomnieniach" przytacza takie wywnętrzania wielkiego epileptyka... Tołstoja.

„Literatura? pozwól pan, jakież idjotyczne książki pisano w Rosji. Naprzykład taki Dostojewski. To dziwne, że on ma tylu czytelników. Nie rozumiem dlaczego? Wszystko jest u niego takie ciężkie, bezcelowe... ci wszyscy idjoci, Raskolnikowie... W rzeczywistości było inaczej, prościej, przystępniej. Powinien był się zainteresować nauką Konfucjusza lub buddystów. Oniby go uspokoili, ułagodzili. On miał rewolucyjną krew w żyłach, lecz mało myślał. Miał coś żydowskiego w swej krwi. Szkoda, że nikt Leskowa nie czytał To jest naprawdę dobry pisarz"...

Tak rzekomo miał mówić Tołstoj do Gorkiego. Ile w tem jest prawdy, niewiadomo. Gorkiemu wierzyć nie bardzo można. Sławny bradiaga, komunistyczny hypokryta i kapitalistyczny kombinator Dostojewskiego zawsze nie cierpiał. Drażnił go jako reakcjonista, imperjalista, caropapista, monarchista i patrjota, irytował i upokarzał jako głębia, ocean, *grandseigneur* literacki, w zestawieniu z którym on, Maksym Fjeszkow jest: szewc, rękodzielnik beletrysta, mużyk, cham, *gradiuszczy cham* i nicość. Jeden tom Dostojewskiego ma wieczystszy walor i wagę od całego dorobku, całej bibljoteki nieco śmierdzących ramot i opowiastek grubo utalentowanego narratora. Dostojewski zostanie po wieczne czasy, Gorkiego dzieł, z tytułów nawet (dosłownie) się nie zna i poznać niema ochoty. Ot, fetysz, fikcja, fantom, legenda, konwencja proletarjacka.

Czy tedy autor „Anny Kareniny" tak mówił niechętnie i niechlujnie o autorze „Idjoty" o tem można bezwględnie wątpić. „Położym" atoli, że tak mówił. No to byłby nie tylko epileptykiem, ale katotonikiem i mattoidą. (Leskow... „dobry pisarz") (nauka Konfucjusza?). Szczególnie kretynowaty byłby *passus*, że Dostojewski „miał coś żydowskiego w swej krwi", jeżeli się rozważy, ile właśnie aryjskiego, ile tragicznie aryjskich pierwiastków zawiera w sobie cała twórczość i cały męczeński żywot... również... epileptyka Dostojewskiego. Jest rzeczą atoli stwierdzoną, że podczas, gdy obecnie, dzisiaj (rok 1932) każdego, ktoby wziął do ręki tom Tołstoja, musi porwać w swe objęcia Kuma Nuda, to spróbujcie zacząć czytać to, co czytaliście trzydzieści lat temu, a co było przeżyciem, przeżywaniem Dostojewskiego, to będziecie tak samo wchłaniali powieść gorączkowo, narkotycznie, do samego świtu. Bowiem Dostojewski to jest Mount-Everest, a Tołstoj to jest „Babia Góra", a Gorkij to jest sobie pagór, kopiec...

Teraz dopiero wyszła pierwsza źródłowa, pono monumentalna biografja Dostojewskiego: Edwarda Haletta Carra (Allen Umvin). Może dobrze by było, żeby zainteresowali się nią i nasi angliści i może Lednicki junior. W życiowej kalwarji największego pisarza rosyjskiego cztery kobiety grały wielką rolę: Anna Grigorjewna żona omal święta przez swą bezgraniczną ofiarność, Marja Dmitriewna, A. Gustowa, no i wreszcie tajemnicza Polka, Korwin-Krukowska. Ten stosunek trzebaby zbadać i rozświetlić... To byłby też polski wkład do wiedzy o Dostojewskim. Już pora.

Tymczasem zajęli się twórcą „Karamazowych" całkiem inni, nie predestynowani, nie wezwani i nie wybrani..., rodacy „adoptowani" pp. Grossman i p. Landau. W literackiem piśmie sowieckiem „Nowyj Mir" zamieścił swoją powieść „*vie romancée*" o Dostojewskim, Leonid Grossman, a w paryskiem emigrackiem: „Cristu" studjum p. Grigory Landau, którego nie należy mieszać z Landauem-Ałdanowem. I towarzysz Grossman i emigrant czarnosotieniec (?) Landau odnoszą się pono do najtragiczniejszego fenomenu i człowieka i pisarza negatywne, krytycznie, z nieukrywaną a dławioną animozją. Jeszcze nie tak dawno unosili się nad nim André Gide, Papini, Dreiser, S. Lewis i tylu innych. O co więc chodzi? Dlaczego trzeba go pośpiesznie obniżyć i obrzydzić? Dlaczego, gdy o Tołstoju p. Eichenbaum pisze na gwałt 422-stronnicową apologję, współwyznawcy p. Eichenbauma... jubileusz, rocznicę Dostojewskiego pośpiesznie uczcili paszkwilowem odbronzowywaniem?

Rzecz jest prosta.

Już w r. 1880 Dostojewski pisał jasnowidząco:

„Bismarck, Beaconsfield, Republika francuska, Gambetta etc. wszystkie te potęgi są tylko złudzeniem. Jedynie żydzi i ich banki są panami całej Europy. Gdyby powiedzieli *veto* to i Bismarck upadnie jak podcięta trawa. Izrael i jego banki są teraz panami wszystkiego: Europy, nauki, cywilizacji, socjalizmu, socjalizmu w szczególności, co im pomoże do wytępienia chrześcijaństwa i zniszczenia cywilizacji. A kiedy pozostanie już tylko anarchja, żydostwo stanie na czele wszystkiego. Bo dopiero po rozpowszechnieniu anarchji, żydzi będą jednolici. I kiedy bogactwa całej Europy będą rozproszone, zostanie nienaruszony Bank Żydów".

Tak pisał Dostojewski pół wieku temu.

I dlatego twórcę „zbrodni i kary" probują teraz pomniejszać równocześnie i Grossman w Moskwie i Landau w Paryżu.

Przez pół wieku dokładali wszelkich sił, aby na front życia publicznego w Rosji wepchnęli się ludzie typu Wierchowieńskiego, Stawrogina, Raskolnikowa, Świdrygaiłowa, Płatona, Karatajewa, Aljoszy Karamazowa... rozszczepieńcy psychiczni, masochiści, desperaci, sadyści, fataliści alkoholiczni, rezonerzy, „święci zbrodniarze", okrutnicy, rozkładowcy. Wierchowienskim wpychali bomby do rąk, Karatajewym kazali w r. 1917-tym przerywać front, Stawroginów stawiali na czele Czrezwyczajki.

— — — — — — — — — — — — — — —

A teraz, kiedy już dawno „Biesy" zeszły z książki w życie, szkalują tego... który „Biesów" światu... przepowiedział.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Gazeta Polska" (nr. 273) chełpliwie ogłasza telegram z Berlina tej treści:

„Główny organ hitlerowców „*Völkischer Beobachter*" w art. p. t. „Metody rządów Piłsudskiego" pisze, iż Hindenburg widocznie studjował metody rządów w Polsce na własny użytek. Ostatnie wydarzenia w Niemczech dowodzą, że Hindenburg wiele się od Piłsudskiego nauczył, jak również, że ministrowie Rzeszy zdołali wiele przejąć z metod polskich. Dziennik powtarza za jednem z polskich pism wiadomość, iż w najbliższym czasie wydane mają być po niemiecku pisma i mowy marszałka Piłsudskiego".

My powiadamy, że to dobrze, ale że „Gazeta Polska" z tego nabytku do BB się cieszy, to źle. Wierzy bowiem w te metody, że są jedynie zbawcze dla państwa, a więc i w to musi wierzyć, że będą zbawcze dla Niemiec, wyratują je z kłopotów i doprowadzą do potęgi. A wtedy co będzie z Polską? Toć to tragiczne dla patrjotycznych serc „sanacji".

Ale że też Hindenburg w 85 roku życia jeszcze się uczy! Niesłychana żądza wielkości.

*

Bajeczka.

Mały Wojtuś był bardzo głodny i, pędząc krówkę na pastwisko, z radością myślał o tem, że upiecze kartofle, które niesie za pazuchą. Ponieważ w domu oddawna nie widziano zapałek, przyniósł z sobą w starem pudełeczku krzemień, kawałek szkła z butelki i trochę mchu wysuszonego. Wkrótce miłe pasemko dymu ukazało się na łące, jak na pejzażu Chełmońskiego, bo to było na Mazowszu.

Aliści z za krzaka wyskoczył policjant i zażądał grzywny za przekroczenie przepisów o monopolu zapałczanym. Ponieważ Wojtuś gotówki nie miał, dzielny policjant zabrał mu krzesiwo i kapelusz, ogień zaś stłumił. Zlikwidowawszy w ten sposób incydent, pobiegł dalej, bowiem spostrzegł w pejzażu nowe ognisko pastusze.

Spłakany Wojtuś zasnął i śniło mu się, że wyszedł do niego piękny pan, cały w złotogłowiu i brylantach, aż oczy ćmiło, i dał Wojtusiowi pudełeczko, w którym było trochę zapałek.

— Nie płacz, Wojtusiu. — mówił — Monopol potrzebuje bardzo dużo pieniędzy i liczy w tej mierze na dobrych obywateli, ile że należy do kartelu, który cały świat ogarnia, i znaczne ma koszta administracyjne.

— Ktoś jest, dobry panie? — pytał Wojtuś, ujęty słodyczą dobroczyńcy.

— Jam jest duch Kreugera! — I mówiąc to, zwiał wiaterkiem, znikł, jak ów dymek z ogniska.

Wojtuś pośpiesznie pocierał zapałki, wszystkie jednak były już zużyte. Ale wszystko jedno, bo to był tylko sen.

Wracał Wojtuś z krówką do domu, gdy już wieczór ścierał pozłotę słoneczną na zachodzie. A niczem był jego głód i żal po utraconym kapeluszu, wobec dumy, która rozpierała mu piersi, że jest obywatelem świata i podporą kartelu monopolowego.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.